



EMMA GOLDRICK

Wdowi grosz



Tytuł oryginału: The Widow's Mite

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lucy Borden przysięgła, że nigdy nie zapomni owego lipcowego poranka. Tego dnia spotkała Najokropniejszego Mężczyznę Świata. Tak naprawdę najpierw poznała jego córkę.

Siedziała właśnie na górnym stopniu schodów, wiodących na obdrapaną frontową werandę swojego domu, i wpatrywała się w opustoszałą Ned's Point Road. Ponad jej głową krążyły mewy. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza. Orzeźwiająca bryza morska była jedynym ratunkiem dla miasteczka Mattapoisett. Wiała od strony plaży, śpiesząc ku Ned's Point Road, gdzie szeleściła w liściach drzew rosnących po obu stronach ulicy.

Wzdłuż całej Ned's Point Road znajdowały się nowe lub świeżo odrestaurowane rezydencje. Jedynie dom Bordenów o osiemnastowiecznej architekturze wyglądał tak, jakby za chwilę miał się zawalić. A Lucastra Borden nie miała ani środków, ani praktycznych umiejętności, by temu zapobiec.

Kiedy zza rogu domu wyszło dziecko i z upartą miną stanęło przed nią, Lucy powróciła myślami na ziemię.

- Cześć! Mam na imię Maude - powiedziała dziewczynka i wyciągnęła brudną rączkę.

Biedne stworzenie, pomyślała Lucy. Tak bardzo podobna do mnie, kiedy byłam mała. Po prostu nieładna. Masywna, nabita, zbudowana jak hydrant przeciwpożarowy. Piegi walczyły o każdy centymetr jej kwadratowej buzi, a mysio-brązowe włosy ścięte były na chłopaka. Zęby stanowiły zupełnie przypadkową mieszaninę stałych i mleczaków. Wyglądała na około osiem lat.

Ubrana była w porozciągane drelichowe spodnie i różową bluzkę, która wyglądała, jakby pochodziła z darów zebranych przez Armię Zbawienia.

- Jestem dziewczynką - dodało dziecko i przerzuciło ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

- Ja też - oświadczyła z godnością Lucy, delikatnie potrząsając wyciągniętą rączką. - Czy to nie miłe? Pewnie szłaś na plażę? - Dziecko skinęło głową. - Maude jak?

- Jak co?

- Większość ludzi ma imię i nazwisko. Może ty jesteś Maude Ktośtam?

- Jesteś zabawna. - Mała zachichotała. - Maude Ktośtam! Mój tatuś jest bardzo ważną osobą. Nazywam się Proctor.

- Jak miło - rzekła Lucy. - Bardzo ładne nazwisko - Proctor. Czy to tatuś wybrał ci imię? Jest wyjątkowo kobiece.

- Nie jestem pewna - odparła Maude bardzo poważnym głosem. - On czasami zachowuje się tak, jakby nie lubił dziewczyn.

- Musiał jednak polubić twoją mamę.

- Ja nie mam mamy. Umarła, kiedy się urodziłam.

Tak to bywa, kiedy się jest wścibskim, pomyślała Lucy. Założę się jednak, że wspomnienie matki nie sprawia dziecku przykrości. Mimo wszystko...

- Mamy coś wspólnego - powiedziała miękko. - Moja mama również umarła, kiedy się urodziłam. Nigdy jej nie widziałam.

Dziewczynka westchnęła ze współczuciem i usadowiła się na najniższym schodku.

- Bardzo miło jest mieć tatusia. A gdzie jest twój tata?

- Nie ma go tu - odpowiedziała Lucy.

Jej ojciec poszedł walczyć, kiedy była jeszcze w studium nauczycielskim i nigdy nie powrócił. Podobnie jak biedny Mark. Jak to w ogóle możliwe? Powołano do służby obronę powietrzną. Ojciec i Mark znaleźli się w jednej załodze. Czy może być większy pech, niż stracić za jednym zamachem ojca i narzeczonego?

- Ale kochał cię, a ty jego? - Mała słuchaczka skinęła mądrze głową.

Oczywiście, to prawda, pomyślała Lucy.

- Mój tata wrzeszczy na mnie. Naprawdę myślę, że on nie lubi dziewczynek.

- Cóż, jeśli twój ojciec nie lubi dziewcząt, to bardzo głupio z jego strony - zawyrokowała Lucy. - Czy on jest głupi?

- On? - Dziecko wyglądało na zaskoczone. - On jest najinteligentniejszym facetem na świecie. A przynajmniej w Massachusetts. Założę się, że ty też jesteś inteligentna.

- Nie powiedziałabym tego - odparła Lucy poważnie. - Nauczycielki nie zarabiają wiele. Jeśli nie znajdę jakiejś pracy na czas wakacji, będę miała poważne kłopoty.

- Och, ale za to jesteś ładna - powiedziała Maude w sposób tak zdecydowany i stanowczy, jak gdyby to było wszystko, czego dziewczyna potrzebuje, ażeby osiągnąć sukces. Bezwarunkowy komplement.

I cóż ty na to, Lucy Borden? - spytała samą siebie. Metr sześćdziesiąt wzrostu, zielone oczy, pięćdziesiąt pięć kilo wagi - pulchna, lecz zbudowana proporcjonalnie, z jasnobrązowymi włosami splecionymi w warkocze.

- Dziękuję - wymamrotała. - Ale wiesz, ja się starzeję. Mam dwadzieścia osiem lat.

- To rzeczywiście dużo - z powagą zgodziła się Maude, ryjąc w piachu czubkami swoich znoszonych pantofli. - Ale on jest dużo starszy od ciebie.

Lucy zżerała ciekawość, kto to jest on, ale nie miała odwagi spytać.

- Mieszkasz gdzieś w okolicy?

- O tam. - Maude skinęła w stronę plaży, gdzie nad paroma akrami gruntu królował wspinały dom w stylu farmerskim z półkolistym podjazdem, podwójnym garażem i około piętnastoma pokojami. Już od paru lat wzbudzał on ciekawość Lucy. - Latem okolica jest taka pusta. Nie masz nic przeciwko temu...?

- Zawsze będziesz u mnie mile widziana - odparła dziewczyna. - Jestem znów bez pracy, więc spędzam tu większość czasu. Masz ochotę na lemoniadę i ciasteczka?

- Nie wolno mi jeść pomiędzy posiłkami. Ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w nią, jak gdyby prosząc o złamanie zasady. Lucy podniosła się z godnością.

- We wtorki dieta nie obowiązuje.

Dziecko z powagą skinęło głową. Nastąpiło ważne porozumienie. Obydwie wiedziały, że to był czwartek, lecz nie zamierzały pozwolić, by taki drobiazg zepsuł im przyjemność.

- Pójdę i coś przyniosę.

Wyglądziła zieloną bawełnianą spódnicę, obciągnęła pomarańczową bluzkę na ramiączka i ruszyła w górę schodów. Zatrzymał ją warkot samochodu. Ogromny cadillac przemknął po Ned's Point Road obok jej domu, po czym cofnął się i wpadł z piskiem hamulców na podjazd.

Przyglądały się temu bez ruchu. Maude stała u podnóża rozklekotanych schodów z piąstką przyciśniętą do ust, a Lucy na górze, z ręką wciąż wyciągniętą ku frontowym drzwiom.

Z samochodu wyskoczył barczysty, solidnie zbudowany mężczyzna. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Grymas wykrzywił jego pełną złości twarz. Wyglądał jak Thor, który, przebrany w trzyczęściowy szary garnitur, ma właśnie zamiar rzucić parę gromów.

- Co pani, do cholery, robi z moją córką? - zagrzemiał głębokim basem, wypłaszając krążące w górze ptaki.

Należy do rodzaju mężczyzn, których można zniecierliwić, pomyślała Lucy.

- Nie pozwalałam na przeklinanie na terenie mojej posiadłości - warknęła. - Kim pan właściwie jest?

- Jestem ojcem Maude - zagrzemiał.

- A skąd mam wiedzieć, że to prawda? - odparła Lucy tym samym tonem. - Z tego, co widzę, równie dobrze może pan być porywaczem dzieci. Maude?

Dziewczynka opuściła głowę i ponownie zaczęła ryć w piasku.

- Tak, to mój ojciec - przyznała po chwili. - Ale to nie moja wina. - Po jej policzku spłynęła łza.

Lucy zbiegła po schodach i wzięła dziecko w ramiona.

- Nie, kochanie, to nie twoja wina. Nikt z nas nie wybiera sobie rodziny.

- Wielkie dzięki - wymamrotał sarkastycznie mężczyzna. - Maude, wskakuj do samochodu.

- Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę? - spytała dziewczynka.

- Kiedy tylko zechcesz - odparła Lucy.

- Akurat! - wtrącił mężczyzna, zatrzasnął drzwiczki samochodu za córką i podszedł do schodów. - Proszę posłuchać...

Lucy zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w dłonie i przymknęła oczy. Jednakże po „Proszę posłuchać” nic nie następowało.

Ostrożnie podniosła powieki. Głęboka, mroczna czerń jego oczu odpowiadała kolorowi jego włosów. Wpatrywał się w znajdujący się za nią budynek. Prawie słyszała jego myśli: „Ale nora!”. To wystarczyło, by na dobre rozniecić jej gniew.

- Cóż, to jest dom - warknęła. - My, Bordenowie, mieszkamy w tej okolicy od dwóch stuleci. Nie jesteśmy jakąś tam bandą spóźnionych imigrantów!

Pochylił się ku niej z twarzą oblaną rumieńcem. Nerwowo weszła na drugi schodek.

- Nowoangielska Jankeska - mruknął z pogardą. - Ten dom wygląda, jakby miał tysiąc lat. Jeden silniejszy podmuch wiatru i zamieni się w kupę drewna. Mając tyle czasu i pieniędzy, pani lub pani przodkowie mogliście poświęcić choć chwilę na odmalowanie tego cholernego budynku. Takie paskudztwa obniżają wartość pozostałych posiadłości w okolicy.

O, tego już za wiele. Lucastra Borden poczuła, że gotująca się w niej wściekłość osiąga krytyczny punkt. Jej lewa ręka

pomknęła w kierunku jego policzka. Zamknęła oczy, by nie widzieć uderzenia, lecz masywna dłoń chwyciła jej nadgarstek parę centymetrów od celu i przytrzymała sztywno w miejscu.

- Sprawia mi pan ból - jęknęła.

- Zasłużyła pani na to - zripostował.

- Tatusiu! - krzyknęła Maude przez uchyloną szybę samochodu.

- Boże, szkoda, że nie jestem większa - powiedziała Lucy. - Wtedy...

- Gdyby była pani większa, oddałbym pani - odparł. - Ale ponieważ jest pani taką drobiną, myślę, że...

- Nie! - zaprotestowała słabo Lucy.

Słowo „nie” najwyraźniej nie figurowało w jego słowniku. Przyniósł się bliżej, zamknął ją w uścisku i stłumił wszelkie protesty delikatnym, prowokacyjnym pocałunkiem. Oczywiście, była całowana raz czy dwa w życiu. Jednak spośród wszystkich chłopców tylko Mark wznicił w niej ogień, ale i on nie sprawił, żeby zawładnęły nią tak silne emocje, jak wywołane przez tego... pirata! A kiedy całą wieczność później odsunął się od niej, Lucy poczuła żal, że to już koniec.

Mała Maude w dalszym ciągu krzyczała w samochodzie, za wszelką cenę starając się otworzyć drzwi. Proctor uśmiechał się szeroko, stojąc u podnóża schodów.

- I niech to będzie dla pani nauczka - powiedział.

- Proszę zostawić moją córkę w spokoju. W zasadzie nie mam nic osobiście przeciwko pani, ale całe wasze pokolenie działa mi na nerwy. - Odwróciwszy się do niej plecami, majestatycznym krokiem podszedł do samochodu.

Lucy zdobyła się na mały popis odwagi.

- Przychodź, kiedy tylko chcesz! - krzyknęła do Maude.

Mężczyzna spojrział na nią twardo i pogroził palcem.

- Nie ujdzie mu to na sucho - wymamrotała Lucy pod nosem.

Odprężyla się nieco, gdy zasiadł za kierownicą i włączył silnik. Poprzez warkot słyszała, jak prawi dziewczynce kazanie na temat włączania się po obcych.

- A co się stało dzisiaj? - spytał córkę, kładąc swą ciężką stopę na pedale gazu.

- Co takiego?

- Nie udawaj niewiniątka. Gdzie są ci panowie, których wynająłem, żeby opiekowali się domem, kiedy wychodzę do pracy?

- O ile mi wiadomo, są w dalszym ciągu w kuchni i jedzą - oświadczyła Maude.

Proctor gwałtownie nacisnął na hamulec. Tyłem wozu zatrzęsło i zarzuciło w stronę przydrożnego rowu. Samochód zatrzymał się.

- Nie walcz ze mną, Maude - rzekł ojciec łagodnie. - W całej Nowej Anglii wybuchła prawdziwa epidemia. Dzieci z bogatych rodzin są porywane na prawo i lewo. Zapomniałaś już, czemu przeprowadziliśmy się do Mattapoisett, zamiast pozostać w Bostonie? Porwano troje dzieci, w tym jedno z twojej szkoły. Jak myślisz, dlaczego biegasz ubrana niczym włóczęga, a nie wystrojona jak mała bogata dama?

- Przepraszam, tatusiu. Zapomniałam. Nudziłam się. Ci panowie tylko jedzą i rozmawiają z panią Winters. Nie powinieneś trzymać takiej cudownej kucharki. Strasznie mi się nudziło, więc zeszałam w stronę plaży i spotkałam Lucy. To bardzo miła pani.

- Być może, ale dopóki nie dowiemy się o niej czegoś więcej, nie będziemy ryzykować, dziecinko.

- I jest bardzo ładna. Proctor chrząknął.

- Cóż, możliwe - przytaknął. Dziecko zaczęło wiercić się w fotelu.

- Ja ją bardzo lubię. Jest zabawna i cały czas się śmieje. I ona też mnie lubi!

- Tak mówisz? - spytał z przekąsem ojciec, podjeżdżając pod frontowe drzwi ich rezydencji. - Zmykaj do domu, łobuziaku, bo jak nu\ to...

- To niebo zawali nam się na głowę?

- To niebo zawali nam się na głowę. Dziewczynka popatrzyła na niego, a kąciki ust zaczęły jej drżeć. Wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem i rzuciła się w jego objęcia.

- No i odjechał wściekły. - Lucy zakończyła swoją relację.

Pomineła w niej pocałunek.

Naprawdę nie było potrzeby wpędzać się w większe zakłopotanie z tego powodu. Wymizerowana starsza pani leżąca w łóżku potrząsnęła z oburzeniem głową. W każde czwartkowe popołudnie Lucy chodziła do Domu Spokojnej Starości, ażeby odwiedzić Angelę Moore. Angie miała już ponad dziewięćdziesiąt lat i była ostatnim potomkiem swojego rodu. Jeszcze dwa lata temu również mieszkała na Ned's Point Road, aż któregoś dnia spadła ze schodów i złamała biodro.

Tak, jak to miało miejsce z wieloma starymi jankeskimi rodami, kilka współistniejących gałęzi rodziny Moore zrodziło kiedyś wielu prężnych mężczyzn, którzy zgromadzili między sobą parę fortun.

Jednakże stopniowo krew rozrzedzała się, męscy potomkowie powymierali, pozostawiając spadkobierczynie w podeszłym wieku. W końcu została jedynie Angie Moore i wszystko przypadło jej. Całe miasteczko wiedziało, że była bogata ponad wszelkie wyobrażenia.

Miasteczko nie wiedziało jednak o czymś, o czym wiedziała Lucy. A przynajmniej tak jej się wydawało. Mianowicie, Angie zawsze czuła słabość do koni i w przeciągu wielu lat swojego życia każdego centa stawiała na wyścigach. Angie i Lucy darzyły się przyjaźnią, która zacierała przepaść pomiędzy pokoleniami i miały przed sobą niewiele tajemnic.

- To musi być strasznie nieokrzesany mężczyzna. - Angie oblizwała łyżeczkę po lodach. - Czy sądzisz, że mogłabyś mi

przynieść w przyszłym tygodniu trochę pasztecików z homarem? Nie mogę znieść tutejszego jedzenia.

- Oczywiście. Ale ostatnim razem, kiedy to zrobiłam, zaszkodziły ci.

- Mimo wszystko i tak je uwielbiam - nalegała starsza pani. - Proctor, mówisz?

- Takie nazwisko podało mi dziecko.

- I mieszka przy plaży w twoim sąsiedztwie?

- Dokładnie. Mam jeszcze trochę lodów. Chcesz je dokończyć?

- Słyszałam już kiedyś to nazwisko - powiedziała Angie, wpatrując się w resztę lodów. - Proctor. Ta rodzina dużo w czymś znaczy. Myślę, że chodzi o pieniądze, ale nie mogę teraz dokładnie skojarzyć. Dojdę do tego. Czy on ci kogoś przypomina?

- Masz na myśli Marka? Nie. Ten facet to same mięśnie i tupet. Mark był zawsze spokojny.

- No cóż, wszyscy oni noszą spodnie. - Angie zachichotała.

- Nie chcę rozmawiać o takich rzeczach - odparła Lucy sztywno.

- Przepraszam, kochanie. - Bładoniebieskie oczy wwiercały się w nią. - Zapomnij.

W tej samej chwili przyszła dyżurna pielęgniarka i jej pomocnica paplająca o zabawie. Poinformowały Lucy, że godziny odwiedzin minęły.

- Zazdrośnice - skomentowała Angie, odprawiwszy je machnięciem ręki. Zanim jednak wyszły, zwróciła się do Lucy. - Jesteś dla mnie taka dobra, dziecko, że zamierzam zapisać ci dwa miliony dolarów w testamencie.

Roześmiały się obydwie, a pielęgniarce zapało dech.

To był taki ich osobisty żart. Lucy wiedziała, że kochana staruszka nie ma centa przy duszy. Jednakże po skończonej wizycie, gdy zatrzymała się na chwilę przy pokoju pielęgniarek, siostra dyżurna pochyliła się ku niej i rzekła:

- No proszę, ale się pani udało. Dwa miliony!

- Tak - zgodziła się Lucy z powagą. - Tylko niech pani uważa, żeby się nie rozniosło po mieście. Moi wierzyciele dopadliby mnie.

Sytuacja żywcem wzięta z Biblii, pomyślała sobie, idąc w dół do frontowych drzwi i wychodząc na słońce. Angie zamierza zostawić mi swój wdowi grosz.

Szła powoli ulicą Barstow, a jej umysł pracował na wysokich obrotach. Jest bezrobotna. I co dalej? To nie jej wina, że straciła posadę praktykantki w aptece.

- Muszę mieć przecież jakieś cenne zalety - zamruczała do siebie, ignorując dziwne spojrzenia przechodniów. - Lubię ludzi. Czy jest jakaś posada polegająca na miłości do ludzi? Czy jest...? - Nagle doznała olśnienia. Ni stąd, ni zowąd przyszedł jej do głowy genialny pomysł!

- Dzieci! - krzyknęła. Starszy pan czekający, by przejść przez Water Street odwrócił się i spojrzał na nią. - Dzieci - powtórzyła ciszej. - W mieście są przecież instytucje zajmujące się dziećmi, a z pewnością jeszcze mnóstwo dzieci potrzebuje opieki! Co takiego jest u mnie, czego nie ma gdzie indziej? Odpowiedź jest prosta, nawet dla bujającego w obłokach umysłu Lucy - plaża! A do tego karta pływacka wystawiona przez Czerwony Krzyż i trzyletnia praktyka ratownicza.

Jej plaża biegła wzdłuż linii wody przez ponad trzydzieści metrów i rozciągała się aż ku tylnym drzwiom jej domu - miała więc dwadzieścia, a może więcej metrów szerokości i cała pokryta była pięknym, czystym, białym piaskiem. Jeśli ktoś go przedtem oczyści. Tak więc oczyszczę plażę i zorganizuję Dziecięcy Klub Plażowy - postanowiła.

Ojciec Lucy zawsze potrzasał głową, kiedy mówił o swojej zapalczywej córce, ale to było lata temu, kiedy była mała. Osierocona w wieku lat osiemnastu, kiedy samolot ojca został zestrzelony, przeistaczała się powoli w mały huragan, w

podnieceni zmiatający wszystko dookoła. Teraz, zdecydowana na zrealizowanie swego pomysłu, rzuciła się do telefonu.

- Nie - tłumaczyła jej cierpliwie telefonistka z lokalnej gazety, „Presto Press”. - Ternrn nadsyłania nowych ogłoszeń upływa o dziesiątej rano w czwartek. Następne ukażą się w sobotę. Życzy sobie pani zamieścić notatkę w dziale drobnych ogłoszeń?

- W zasadzie myślałam o całostronicowej reklamie - odparła Lucy, po czym zbladła, gdy głos po drugiej stronie słuchawki począł podawać ceny.

- Ja... myślę, że jednak zdecyduję się na dział drobnych ogłoszeń - wyjąkała i podyktowała swoje małe obwieszczenie.

Teraz nadszedł czas oczekiwania. I planowania. Z iloma dziećmi da sobie radę? Z dziesięciorgiem - zdecydowała. Pomiędzy piątym a dziesiątym rokiem życia. Same dziewczynki. Jeśli będę je miała tylko na przedpołudnie, nie będę musiała szykować lunchu. Ale jeśli będzie padało, nie będę mogła ich po prostu odesłać - trzeba będzie zorganizować jakieś gry i zabawy w domu. Muszę naprawić ten diabelny dach. Wezmę... O Boże, nie mam pojęcia, ile pieniędzy zażądać.

Aby oddalić na razie ten problem, przebrała się w swoje żółte bikini, znalazła grabie do piachu i poszła wojować z zaniedbaną plażą. To zdumiewające, ile tu było śmieci. Gładki granitowy głaz wyznaczał granicę z sąsiednią posiadłością.

Z westchnieniem zadowolenia Lucy zakończyła porządki i opadła na szary kamień graniczny. Jej wzrok powędrował ponownie ku plaży. Wystarczająco dobra dla każdego dziecka - zdecydowała. Dziewicza, czysta...

- Aż trudno uwierzyć, jak wiele można zdziałać na śmietniku niewielkim nakładem pracy fizycznej - dobiegł ją głęboki, męski głos.

Lucy podskoczyła i odwróciła się, gotowa do obrony. To był Proctor - z szerokim uśmiechem na kwadratowej twarzy, ubrany jedynie w krótkie, obszarpane szorty. Na nieszczęście nie patrzył dostatecznie wysoko, zahipnotyzowany zsuwającą się

górą jej staromodnego kostiumu kąpielowego. Wysiłki Lucy, by przesunąć na miejsce wąski pasek materiału, tylko pogorszyły sytuację.

- Pomogę pani. - Wyszedł zza głazu z wyciągniętymi rękoma.
- Proszę wrócić na swój teren!

Zaskoczony zatrzymał się w pół kroku. Jego rozpogodzona twarz spochmurniała.

Lucy zdołała dokonać kilku prowizorycznych poprawek przy swoim kostiumie, po czym odwróciła się, by majestatycznie odejść.

- Hej! Ty tam, jakkolwiek się, do diabła, nazywasz!

Odwróciła się delikatnie, by spojrzeć mu w twarz. Delikatnie, gdyż kostium kąpielowy miał już dziesięć lat, a Lucastra Borden rozkwitła dość późno.

- Pan mnie wołał, panie Proctor?

Podszedł, przekroczywszy linię graniczną, jak gdyby nosił siedmiomilowe buty. Zapomniała już, jaki był ogromny, a jego obszarpane szorty niewiele przykrywały. Zaszło jej w gardle. Gdyby był ubrany, jakoś by sobie z nim poradziła. Jednakże ten prawie nagi samiec wywoływał w niej dreszcze. Jej opalone policzki oblały się rumieńcem, eksponując pokrywające nos piegi.

- Tak, wołałem. Na imię mam Jim. Jim Proctor.
- Wyciągnął w jej kierunku dłoń wielkości łopaty.

Lucy niemal automatycznie schowała ręce za plecami.

- Czego pan chce, panie Proctor? - wyjąkała.

- Jim. Mów do mnie Jim. - Jego ręka pozostała wyciągnięta. - Słuchaj, mam pewien problem.

Lucy pomyślała, że należałoby utemperować tego aroganckiego faceta. Z jej twarzy zniknął zwykły uśmiech.

- Moje serce krwawi z tego powodu, panie Proctor.

- Nie potrzebuję ani serca, ani krwi. - Dziewczyna wzdrygnęła się. Powrócił ryczący niedźwiedź.

- Potrzebuję opiekunki do dziecka.

- Ach, tak? - Ich spojrzenia spotkały się i Lucy poczuła, jak powoli traci grunt pod nogami.

- Czemu, do diabła, nie kupisz kostiumu, który by na ciebie pasował? Jak możesz oczekiwać, żeby jakikolwiek normalny mężczyzna prowadził z tobą rozmowę o interesach, podczas kiedy ty dosłownie wylewasz się z tego...

- Rzeczywiście! - przerwała z oburzeniem. - Nie ubrałam się tak, żeby drażnić pańskie męskie zmysły. Tak się składa, że jest to mój jedyny kostium kąpielowy i...

- Już dobrze, dobrze - burknął. - Do niczego nie dojdziemy, wrzeszcząc na siebie. Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdybyśmy zaczęli wszystko od początku?

- Niezły pomysł.

Lucy po raz kolejny poprawiła na sobie bikini. Nie było wątpliwości, że Proctor miał rację. Obfite kształty Lucastry Borden zdecydowanie wymykały się spod skąpego stanika.

- Proszę tu poczekać - wymamrotała i pobiegła do domu.

Jej stara zielona sukienka wisiała na drzwiach. Z pośpiechem wślizgnęła się w nią i z niezwykłą ostrożnością zawiązała szarfę. Poprzez przeszklone drzwi widziała Proctora, stojącego z rękoma w kieszeniach i ponuro potrząsającego głową. Z tej odległości wydawał się niższy. Rozprostowała ramiona, wzięła cztery głębokie oddechy, by uspokoić nerwy i żołądek, po czym wyszła na zewnątrz.

Obdarzył ją szerokim, niemalże chłopięcym uśmiechem. Niesforny kosmyk włosów opadł mu na czoło. Lucy poczuła nieodpartą chęć, by zbiec ze schodów i odgarnąć mu go z oczu. W porę się jednak pohamowała. Do licha z tym facetem! Znow zaschło jej w gardle. Nerwowo przygryzała wargi. Dodatkowo zestresował ją fakt, że on zdawał się być świadomy tego, co odczuwała.

- Moja córka, Maude. - Przerwał, by zorientować się, czy zdołał ją zainteresować. - Moja córka, Maude, ma mały problem - kontynuował.

- To miła dziewczynka - powiedziała Lucy, gdy przedłużająca się cisza zaczęła być kłopotliwa.

- Tak. Niezależna, uparta...

- Sympatyczna - dodała dziewczyna.

- Owszem - zgodził się. - I w tym problem. Szukam miejsca, gdzie mogłaby przenocować. Ja... będę dzisiaj bawił niespodziewanego gościa i nie chciałbym, żeby Maude znalazła się na linii ognia.

Zamierza bawić się w towarzystwie kobiety i chce pozbyć się córki? Cholerny...

- To damskie towarzystwo - przerwał jej myśli. - Nie chciałbym, żeby Maude...

- Widziała, jak jej ojciec się zabawia?

- Boże, chciałbym wreszcie dojść do słowa. - Westchnął. - Czy zechciałabyś wziąć Maude do siebie na dzisiejszą noc?

No proszę, pomyślała Lucy. I tu go mam. Czyż nie byłoby lepiej, gdyby Maude zniknęła z pola widzenia, kiedy jej tatuś będzie urządzał orgie w swoim ogromnym domu? A co on mnie, do diabła, obchodzi? Jednakże dlaczego nie miałabym przejmować się Maude? To dobre dziecko.

Wzięła głęboki oddech.

- Z jakiej racji miałabym brać pańską córkę na noc po tym, co mi pan powiedział dziś rano? - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Nie znam nikogo innego w sąsiedztwie - wyjaśnił krótko.

- Ach, więc to tak? Nagle mogę być użyteczna, więc jest pan dla mnie miły? Czulałabym się dużo lepiej, gdyby pan na mnie nawrzeszczał.

- Jesteś przedziwną kobietą - mruknął i wszedł na pierwszy schodek.

- Nie. - Ciężko wciągnęła powietrze. - Pan... tak, Maude może u mnie zostać. Czy ta kobieta to ktoś, kogo ona zna? - Lucy schowała ręce za plecami, by ukryć drżenie palców.

- Jasne. - Wszedł o stopień wyżej. - To Lukrecja Borgia.

- Kto?

- Nie jesteśmy zbyt oczytani, prawda, panno Borden?

- Wiem, kim była Lukrecja Borgia. Na stałe pracuję jako nauczycielka.

- Tylko na jedną noc, mam nadzieję. Pójdę spakować lekarstwa i ubrania. To ciotka Maude. I przyszła matka!

Lucy stała na górnym stopniu z otwartymi ustami. Jim Proctor uniósł palec w pożegnalnym geście i ruszył wzdłuż plaży. Gdy dotarł do kamienia granicznego, przeskoczył przezeń i począł wolno biec w stronę tylnych drzwi swojego domu.

- No i popatrz, w co się wpakowałaś. - Lucy sama sobie prawila kazanie. - Jest żonaty albo stara się ożenić. - Nie było co ukrywać, że ogarnął ją ponury nastrój. - Oczywiście dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. W końcu jest tylko sąsiadem. Nikim ważnym. Czemu, do kroćset, Maude nie miałyby dziś wieczór zobaczyć się ze swoją przyszłą matką? A on zamierza przynieść jej apteczkę z lekarstwami...

ROZDZIAŁ DRUGI

Maude przysła plażą około szóstej wieczorem, ciągnąc za sobą obszarpanego pluszowego misia.

- Ale bomba! - zawołała, zanim jeszcze zdążyła wejść do domu. - Nie masz nic przeciwko temu, że Ruprecht przyszedł ze mną? - Uniosła w górę obdartą łapkę maskotki.

- Nie, chyba nie - odparła Lucy. - Pod warunkiem, że nie je zbyt dużo.

- Wiesz - zadumało się dziecko - to śmieszne. Ruprecht jest pluszowym misiem i nigdy nic nie je. Jesteś zabawna.

- Czy masz ze sobą wszystko, co potrzeba?

- Wszystko - odparła dziewczynka z przekonaniem.

- A szczoteczka do zębów, koszula nocna?

- Nie miałam czasu - powiedziała Maude, zerkając przez ramię na rezydencję na wzgórzu. Na jej twarzy pojawił się cień strachu. - Ona przysła i musiałam się pospieszyć. Nie chciałam się z nią spotkać.

- Wejdz do domu, pokażę ci, gdzie będziesz spała. Potem zobaczymy, co się da zrobić z kolacją.

Ramię w ramię przebiegły tanecznym krokiem przez chłodny piasek, w górę po schodach i do środka przez tylne drzwi.

- Jak miło - powiedziała Maude Proctor, rozejrzawszy się po skąpo umeblowanym salonie. - Czy wiesz, że my mamy piętnaście pokoi i większość z nich stoi pusta?

- Nie, nie wiedziałam - odparła Lucy.

- Tylko wtedy, kiedy tata wydaje te wielkie przyjęcia, cały dom pełen jest ludzi, którzy chcą pić i głaszczą mnie po głowie. Nienawidzę, kiedy ktoś mnie głaszczce po głowie. A jeden z nich lubi mnie szczypać w policzek. Któregoś dnia chyba go zamorduję.

- Mocno powiedziane - skomentowała Lucy i wzdrygnęła się.

- Ale może on na to zasługuje. No, mała panno Proctor, tu na piętrze jest twój pokój, a zaraz obok łazienka.

Maude zatrzymała się w drzwiach.

- Mój pokój? To ty wiedziałaś, że przyjdę? Łóżko akurat takie jak dla mnie. I jaka cudowna tapeta! To są postacie z komiksów, prawda?

- I to nie byle jakich komiksów. - Lucy starała się utrzymać powagę, co nie było wcale łatwe. - Prosto z „Boston Sunday Globe”. To była moja sypialnia, kiedy byłam mała. Mój tata pozwolił mi ją urządzić tak, jak chciałam.

Maude chłonęła przez chwilę szeroko otwartymi oczyma panoramę jaskrawych kolorów, po czym przebiegła przez pokój i rzuciła się na łóżko.

- Nie jesteś zła, że rzuciłam się na łóżko? - spytała, jakby po chwili zastanowienia.

- W tym tygodniu nie. Ale w przyszłym uważaj!

- A co będzie, kiedy twój tata wróci do domu? Lucy zamrugnęła, czując łzy pod powiekami. Już tyle czasu upłynęło, odkąd jej ojciec zginął.

- On już nie przyjdzie - powiedziała niemal szeptem. - Ciężko mu było żyć bez mamy i w końcu odszedł, aby się z nią połączyć. - Pociągnęła nosem, walcząc z kolejną łzą.

Maude spoważniała.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Wiem, jak okropnie jest dorastać w samotności. Może mogłybyśmy zostać przyjaciółkami i wtedy obydwie miałybyśmy kogoś, z kim można porozmawiać. Albo może...

- Albo może co? - droczyła się Lucy. Dziewczynka wyprostowała ramiona i zaczęła mówić z prędkością karabinu maszynowego.

- Albo może jesteś na tyle dorosła, żeby zostać moją mamą i wtedy obydwie miałybyśmy kogoś bliskiego, a ty przekonałabyś się, że jestem dobrą dziewczynką i, kiedy dorosnę, mogłabym się tobą opiekować - jeśli ty zaopiekujesz się mną teraz!

- Myślałam, że masz już mamę. Dziecko spojrzało na nią surowo.

- Nie, ja... to znaczy, nie mam mamy. Moja mama umarła.

- A ta kobieta, która przyszła do twojego ojca?

- To moja ciotka. Jest okropna. Nie mam pojęcia, dlaczego mój tata chce się z nią ożenić. Powiedział, że to dlatego, że ja potrzebuję kogoś, kto by się mną zajął, więc poślubi siostrę mojej mamy - ciotkę Eloise. Tylko że ona wcale mnie nie lubi i w końcu strasznie się pokłócili dwa lata temu i Eloise się wyprowadziła, a ja myślałam, że nie muszę się już tym martwić, tylko że teraz znowu wszystko się poplątało, bo mój tata mówi, że może to była potworna pomyłka z jego strony, bo on nie może się mną zajmować tak jak powinien z uwagi na pracę, wiesz, i mówi, że wciąż potrzebuję matki, i że może powinien jeszcze raz spróbować z Eloise. - Maude bez tchu opadła na łóżko i wpatrywała się żałośnie w najciemniejszy kąt pokoju.

- No, cóż, to poważne plany. Teraz rozumiem - mruknęła Lucy. - Może lepiej jednak nie rozmawiajmy o twoim tacie. Jestem pewna, że nie byłby zachwycony, gdyby słyszał, jak plotkujesz. A teraz, co do pokoju. Odpowiada ci?

- Cudo - odparła dziewczynka i zatańczyła radośnie.

Lucy dostrzegła błysk w jej oczach. Nagle dziecko spoważniało.

- A czy wiesz, co ja mam w swoim pokoju w domu? Nic! Żadnych obrazków, żadnej tapety. Nic! Wszystko pomalowane jest na brązowo. Nawet Ruprecht śpi w naszym pokoju pod łóżkiem, bo nie może ścierpieć tego koloru. Tylko... a jak mam cię nazywać?

- Lucy lub, jeśli wolisz być modna, Lucastra. Proszę, możesz włożyć jedną z moich starych koszulek do koszykówki zamiast koszuli nocnej. Mam również parę zapasowych szczoteczek do zębów.

- O co chodzi?

- Wszystko w porządku, tylko czy będziesz... czy twój pokój jest w pobliżu? Czasami w nocy chodzę we śnie i...

- Tędy, królewno. - Lucy skłoniła się głęboko i przeprowadziła swego małego gościa przez łazienkę. - Tu właśnie skrywam się na noc.

- O! - Oczy Maude rozbłyły ponownie. - Ale ty nie masz żadnych obrazków.

- Oczywiście, że nie - odparła Lucy chichocząc. - Teraz jestem już dużą dziewczynką i urządziłam wszystko inaczej. - Gestem ręki wskazała złotą tapetę z motywem wierzbowych liści, schludne muślinowe firanki, praktyczne biurko stojące w jednym rogu, stół i maszynę do szycia Singera umieszczone w drugim. - Kiedy się tym znudzę, pozmieniam wszystko.

- I nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym przysłała?

- Goście są zawsze mile widziani.

Lucy wyciągnęła rękę do Maude, a mała skwapliwie wsunęła się pod nią.

- Chciałabym... - zamruczała - naprawdę chciałabym mieć taką mamę jak ty.

- Nie zapominaj, że jestem już dość stara - powiedziała miękko Lucy. - A poza tym musiałybyśmy włączyć w to twojego ojca, a to mogłoby się okazać niezwykle trudnym zadaniem.

- Nie rozumiem, dlaczego nie lubisz mojego tatusia. To wspaniały facet. Wszyscy go uwielbiają, a zwłaszcza ja. - Maude zawahała się przez chwilę.

- No, może nie codziennie, rozumiesz. Czasami nie można go strawić.

- Tak - odrzekła Lucy, szukając słów, które nie zraniłyby dziecka. - Różni ludzie lubią różne rzeczy. Chodź, kochanie. Umyj się i zejdźmy na dół. Zastanawiam się, co też mogłybyśmy przyszykować na kolację.

W wyniku jednogłośnej decyzji zjadły hamburgery z odrobiną zapiekanej fasoli. Na talerzu nie było ani śladu zielonych warzyw, co Maude skomentowała z wdzięcznością.

- To tylko dlatego, że dzisiaj jest szczególny dzień - oświadczyła Lucy stanowczo. - Gdybyś zamierzała zostać tu na zawsze, przekonałabyś się, że jadłybyśmy zielone warzywa przynajmniej sześć razy w tygodniu. Zwłaszcza brokuły.

- Uff! Cieszę się, że przyszedł odpowiedniego dnia. Nawet prezydent nie lubi brokułów.

- Ale płaci za to karę - powiedziała Lucy z całą powagą. - Musi mieszkać w Waszyngtonie i nie pozwalają mu ani trochę pomieszkać w Mattapoissett.

- Nie wiem, czy to kara czy nie. - Maude westchnęła. - Ja sama mieszkam w Mattapoissett od niedawna. Chodź, pomogę ci pozmywać.

Sprzątanie poszło im szybko. Lucy zaproponowała, żeby usiadły na tylnej werandzie i popatrzyły na przypyw.

Nisko na niebie jaśniał księżyc. Była prawie pełnia. W zatoce wiatr wyrzucał w górę grzywy ciemnych fal. Promienie księżycy tworzyły srebrną ścieżkę kołyszącą się na wodzie i niemalże sięgającą plaży Bordenów. Z domu na wzgórzu dobiegały przytłumione odgłosy przyjęcia.

- Wcześniej zaczynają - skomentowała Lucy, odgarniając za uszy kosmyki rozwianych wiatrem włosów.

- Tak, i późno kończą - dodała Maude. Przemknęła się na górny stopień i przytuliła do Lucy.

- A w międzyczasie leżą, piją, palą i opowiadają świńskie historyjki. - Jej twarz rozjaśniła się. - Słyszałaś kiedyś tę o...

- Nie - ucięła krótko Lucy. - I nie chcę słyszeć. Party w sąsiedztwie przeniosło się z domu na plażę. Trzy czy cztery pary ganiały się, zataczając szerokie koła i wrzeszcząc na całe gardło. Trudno było w świetle księżycy dociec, na czym polegała ta zabawa, ale obejmowała między innymi zrzucanie ubrań, a zataczane koła kierowały się powoli w stronę domu Bordenów.

- Maude, myślę, że czas już do łóżka - powiedziała Lucy wstając.

- Nie, jeszcze nie - odparła dziewczynka ponuro.

- Chciałaś poznać moją rodzinę? Postój i popatrz przez chwilę.

Bawiące się pary zaprzestały gonitwy w kółko. Dwie z nich rozłożyły koce i położyły się na piasku. Lucy sięgnęła po rękę Maude. Dziecko drżało. Ostatnia para dysponowała jeszcze resztką sił. Biegająca przodem kobieta minęła kamień graniczny, kierując się w stronę werandy. Podążający za nią mężczyzna, gdy dotarł do głazu, oparł się ciężko, zaśmiał bezmyślnie i obsunął na ziemię.

Kobieta dysząc z wysiłku, zbliżała się do domu Bordenów. Na jej ustach błdził dziwny uśmiech. Nagle potknęła się, upadła na kolana, po czym usiadła na pośladkach, z trudem łapiąc oddech. Maude przysunęła się bliżej Lucy i chwyciła ją obiema rękami.

- O, Maudie! - odezwała się biegaczka. - Co za niespodzianka! Myślałam, że jesteś na górze w łóżku. A kim jest ta... mała ptaszyna?

- Idź do domu, Maude - zarządziła szorstko Lucy i delikatnie popchnęła dziecko.

Kobieta podniosła się na kolana, po czym, chwyciwszy poręcz schodów wiodących na werandę, wstała.

- No proszę, lubimy rozkazywać - powiedziała słodko. - Wiem, kim jesteś. James ciągle o tobie mówi. To już jest coś, prawda? Przebyłam taki kawał drogi, żeby go poślubić, żeby mu wyświadczyć tę przysługę, a on nie przestaje opowiadać o małej Lucy, która mieszka obok! A propos, mam na imię Eloise. Popatrz tylko, zęby mi szczękają - dodała po chwili.

- Nie dziwię się.

Lucy nigdy nie należała do najbardziej pruderyjnych osób na świecie, ale tego było już za wiele. Na poręczy schodów wisiał używany ręcznik kąpielowy. Zerwała go jednym ruchem i rzuciła nim w kobietę.

- Okryj się - syknęła.

Eloise chwyciła róg ręcznika, okręciła go wokół jak matador pelerynę i upuściła na piasek.

- Śmierdzi - poskarżyła się.

- Koniowi to nie przeszkadzało - odparowała Lucy. - Okryj się. Nie robimy tu żadnych ceregieli, ale stać na golasa przed tą małą dziewczynką... Ktoś powinien ci spuścić tęgie lanie!

-Nago, nie na golasa - odparła blondynka, owijając się ręcznikiem. - To istotna różnica. Goła kojarzy się z seksem, naga - ze sztuką. Masz pod ręką coś do picia?

- Nie. Wyoń się z mojej posiadłości - warknęła Lucy.

Kobieta zerknęła na drobną dziewczynę zmierzającą w jej kierunku i zdecydowała się na taktyczny odwrót. Wydała świrdujący, zgrzytliwy okrzyk i ruszyła przed siebie, jak gdyby gonił ją sam diabeł.

Gdy przebiegała obok kamienia granicznego, jakaś postać wyłoniła się z ciemności i chwyciła ją.

- Co ty, na litość boską, wyprawiasz? - spytał ochryply męski głos.

- Biegłam plażą i spotkałam twoją uroczą sąsiadkę - odparła Eloise słodko. - Była tak uprzejma, że pożyczyła mi ten ręcznik. Czy to nie miło z jej strony?

- Bardzo miło - zgodził się mężczyzna, popychając ją delikatnie. Najwidoczniej minął mu już gniew.

- Widziałam przez chwilę Maude - paplała dalej blondynka. - Wysłałeś ją na noc z domu? Nie powinienes tego robić. Z przyjemnością bym się nią zajęła.

Rozmowa cichła w oddali. To znów on, Proctor, powiedziała do siebie Lucy, stojąc jak skamieniała.

W ciemnościach nocy Eloise złapała wreszcie oddech, pozwoliła okryć się kurtką i pobiegła w górę plaży. Lucy, potrząsając z niesmakiem głową, cofnęła się do werandy i usiadła na schodach.

- Panno Borden? Lucy? Proszę nie odchodzić. Dziewczyna błyskawicznie odwróciła głowę. Nie poszedł do domu z Eloise. Zawrócił plażą. Z trudem wstała.

- Właśnie wyszliśmy, żeby podziwiać księżyc - wymamrotała - kiedy...

- Ta wariatka - odpowiedział. - Czy Maude...?

- Widziała ich? - Lucy drżały dłonie. - Mam nadzieję, że nie. Odesłałam ją do domu, ale Bóg jeden wie, co zauważa dziecko. A ta Eloise to kobieta, z którą zamierza się pan ożenić?

- Cholera!

- To wydaje się adekwatne słowo. A teraz, czy mógłby pan pozierać niedobitki swoich gości, tak żebyśmy my, zwykli ludzie, mogli się trochę przespać?

- Chciałbym przyjść później i wszystko wyjaśnić - powiedział ze skruchą.

Lucy aż podskoczyła. Nie zdawała sobie sprawy, że podszedł tak blisko.

- Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień - syknęła.

- Na terenie własnej posiadłości może pan robić wszystko, co się panu podoba. Czy chce pan zabrać Maude do domu?

- Nie. - Wsunął ręce do kieszeni. - Czemu miałbym prowadzić to małe, słodkie dziecko pomiędzy...

- Właśnie, czemu? - spytała Lucy najbardziej lodowatym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

Kropla deszczu skapnęła na jej nos. Zamrugła i nawet nie zauważyła, kiedy odszedł, zagubiony w mroku zbliżającej się burzy.

- Więc jak? Muszę tam wracać? - spytała Maude.

Dziewczynka czekała w kuchni, kurczowo trzymając się kranu, jakby bała się, że może zostać zmieciona. Cała drżała. Lucy pogrzebała w kredensie, wyciągnęła marynarkę i zarzuciła jej na ramiona.

- Nie. Twój ojciec nie nalegał, żebyś wracała do domu.

- To nie mój dom. Nie z tą zwariowaną kobietą! Będę szczęśliwa, mogąc spędzić tu noc. Wiele nocy.

- Dziewczynka charczała, ledwo mogąc złapać oddech.

O, Boże, inhalator! - pomyślała Lucy.

Leżał na brzegu kredensu, tam, gdzie sama go położyła kilka godzin wcześniej. Przyzwyczajona do tego typu nagłych wypadków, jak większość nauczycieli szkół podstawowych, Lucy zerwała plastikową nasadkę, przycisnęła na próbę pompkę i wręczyła go Maude. Dziecko poczęło wdychać lekarstwo. Spazm stopniowo przechodził.

- Wypijemy po filiżance gorącego kakao i położymy się do łóżek - rzekła Lucy, obejmując czule wąskie ramionka.

Dziewczynka zakasłała, złapała oddech i przytuliła się do niej mocniej.

- Ty też? Jest dopiero wpół do dziesiątej. Dorośli nie chodzą spać tak wcześnie.

Ręce Lucy przygotowywały już napój, podczas gdy jej umysł błądził daleko. Dziecko powoli weszło po schodach na górę. O co w tym wszystkim chodzi? - myślała Lucy. Jej matka nie żyje. Ciotka zabawia się nago na plaży, a ojciec twierdzi, że może to wszystko wyjaśnić. Czy to możliwe? Nie ma wątpliwości, że musi to być nader zawiła historia.

Z góry dochodziły jakieś hałasy. Lucy ostrożnie wzięła tacę z dwoma kubkami kakao, dodała po parę biszkoptów i zaczęła wspinać się na górę po starych szerokich schodach.

W sypialni było ciemno. Dziewczyna przeszła przez pokój po omacku, jedynie pamięć i wycucie pozwoliły trafić jej na stojący przy łóżku stolik, na którym umieściła tacę.

- To się nazywa zręczność! - pochwaliła się i zapaliła lampkę.

- Jasne - odparła Maude. - Masz galaretki? Lucy wzdygnęła się z udanym obrzydzeniem.

- Wykluczone. Mają więcej kalorii niż ciasto oblewane czekoladą. Wypij to.

- Ty wszystko wiesz? - usiłowała delikatnie wywiedzieć się Maude.

- Niezupełnie - przyznała Lucy. - Jest jeszcze jedna czy dwie rzeczy, których nie jestem pewna.

- Kto dowodził w bitwie o Jerycho? - spytała dziewczynka.

- Widzisz? A nie mówiłam? To jest właśnie jedna z rzeczy, których nie wiem. No dobrze, kończmy kakao i spać.

Kubek został szybciotko opróżniony i odstawiony na tacę. Lucy podniosła ją i skierowała się w stronę drzwi.

- Dobranoc. Aha, Jozue dowodził w bitwie o Jerycho.

- Cały czas to wiedziałś - poskarżyła się Maude. Lucy zeszła na dół, śpiewając zapamiętane fragmenty starej pieśni gospel.

- Nie popisuj się! - usłyszała dobiegający z góry dziecięcy głosik.

- Cicho tam, mała - odkrzyknęła Lucy - albo zaśpiewam ci po włosku.

- Och, nie rób tego! - zapiszczała dziewczynka, udając przerażenie. - Tylko nie to! Oszczędź mnie!

- Oszczędzasz różgę, zepsujesz dziecko - tuż za jej plecami zabrzmiał głęboki, męski głos.

Tego było już za wiele Lucy zrobiła gwałtowny półobrót, a oba kubki ześlizgnęły się z tacy i rozbiły o róg kamiennego kominka.

- O, nie! Co za cholerny facet! Co pan, do diabła, robi w moim domu?

- To, co powinien robić każdy ojciec. - Wszedł w krąg światła rzucanego przez lampę. - Sprawdzam, co z moim dzieckiem.

Głębokie zmarszczki pobruździły mu twarz. Nie, nie był przystojnym mężczyzną. Może takim, który potrafi wszystko przetrwać? Lucy walczyła przez chwilę z tą myślą.

- Czy chce pan do niej zajrzeć? - spytała łagodnie.

- Niekoniecznie. Obudziłyby się i wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

- To nie byłoby takie głupie - odparła Lucy.

- Punkt wyjścia tej historii zupełnie mnie ominął, a co gorsza, nie mam zielonego pojęcia, w którym miejscu znajduję się teraz. Wie pan co, panie Proctor? Doprowadził pan moją ciekawość do wrzenia. Proszę usiąść i pozwolić mi poczęstować się drinkiem, a wtedy będzie pan mógł mi o wszystkim opowiedzieć.

Skinął głową i przysunął sobie jedno z kuchennych krzeseł.

- Stary dom - zauważył mimochodem.

Myśli Lucy momentalnie przeskoczyły na inny temat.

- Dosyć. Zbudowany przez moich przodków w 1746 roku.

- Myślałem, że masz zamiar poczęstować mnie drinkiem?

- Miałam. - Dziewczyna westchnęła z irytacją.

- Tylko że nic mi już nie zostało w butelce.

- Nie uda ci się zbyć mnie taką szkolną wymówką.

- Ale to prawda. Kredens jest pusty. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że ma pan dużo odwagi, panie Proctor.

- Jim. Mam na imię James, ale wszyscy wołają na mnie Jim.

Co takiego wymaga tyle odwagi?

- Domowa nalewka brzoskwiniowa. Moja babcia nastawiła ją tuż przed śmiercią.

- A jak dawno to było?

- Mniej więcej piętnaście lat temu. Odważysz się? Parsknął śmiechem. Był to tak przyjemny dźwięk, że Lucy aż drgnęła. Mimo wszystko, jest w nim coś ludzkiego!

- Jeśli do tej pory nie przepaliło butelki, nie przepali i mojego żołądka - zawyrokował.

- Tylko ci się tak wydaje - zamruczała pod nosem Lucy.

W spiżarni okazało się, że sytuacja wygląda nie najlepiej. Nie było kieliszków do wina, ani nawet szklaneczek do drinków. Stał tylko komplet słoiczek po maśle orzechowym. Od razu będzie wiedział, że nie należymy do elity, pomyślała dziewczyna i nalawszy sporą miarkę, wyszła i postawiła przed nim naczynie.

Obejrzał je ostrożnie, po czym podniósł do góry i powąchał zawartość. Lucy siedziała spięta.

- Moja mama miała komplet takich szklaneczek. Akurat! pomyślała Lucy. Patrzcie na tego potwora. Stara się wkupić w moje łaski.

- Jak to miło. Wypij.

Uniósł dłoń w geście toastu i jednym haustem wychylił nalewkę. Po krótkiej chwili wywrócił oczami, spurpurowiał na twarzy i począł się krztusić.

Lucy skoczyła na równe nogi i zaczęła walić go po plecach. Z trudem złapał oddech i oddalił ją machnięciem ręki. Woda, pomyślała i rzuciła się w kierunku lodówki, gdzie w starej butelce po mleku trzymała wodę pitną.

- Wypij to - zakomenderowała, wlewając ją w miejsce, gdzie powinny znajdować się jego usta.

Niestety, nie trafiła.

- No, muszę przyznać - powiedziała Lucy jakiś kwadrans później - że masz odwagę!

- Przede wszystkim mam szczęście, że mnie nie utopiłaś - burknął, wycierając się jej ręcznikiem.

- To prawda - zgodziła się z niepokojem. - Może miałbyś ochotę na jeszcze jedną szklaneczkę nalewki?

Stał pośrodku kuchni, pozwalając spływać wodzie na podłogę. Na jej słowa podszedł do stołu, przy którym siedziała, i palcem uniósł jej brodę ku górze.

- Nie mam już na nic ochoty w tym domu - odparł z sarkazmem, wymawiając każde słowo z osobna. - Nie chcę żadnych przysług z twojej strony. Kiedy cię pierwszy raz spotkałem, zastanawiałem się, czemu wciąż jesteś niezamężna, ale teraz już wiem. Jesteś chodzącym nieszczęściem.

- Co... co chciałeś mi powiedzieć o Maude? - spytała półszepem, zsuwając się z krzesła i cofając nieco.

- Maude! - zagrzmiął, po czym ściszył głos.

- Maude ma astmę. Nie męczą jej regularne ataki, ale na wszelki wypadek przyniosłem jej inhalator i lekarstwo. Mam nadzieję, że nie jest to dla ciebie zbyt skomplikowane?

- Bynajmniej, panie Proctor - odparła lodowato.

- Często zdarza mi się przeżyć czterdzieści osiem godzin, lub nawet więcej, bez zrobienia z siebie idiotki. Czy coś jeszcze?

- Ja... nie. - Na jego twarz powrócił wyraz zakłopotania. - Chciałem tylko przeprosić za moich gości. Nie sądziłem, że to zajdzie tak daleko. Eloise i ja świętujemy odnowę naszego związku. Zaproponowałem jej, żeby przywiozła ze sobą paru swoich przyjaciół z Bostonu. Ale to się już nie powtórzy.

- Przeprosiny przyjęte.

Nienaturalny wyprost ramion i stanowczy zarys podbródka świadczyły jednak o czymś innym. Jim

Proctor, patrząc na delikatną wypukłość jej piersi i bioder, pomyślał, że warto byłoby zjednać sobie tę dziewczynę. Chyba zresztą wcale nie była tak straszna, jak na początku sądził. Maude lubiła ją.

- Jak... zarabiasz na życie? - spytał. Zaskoczona Lucy przerwała na chwilę wycieranie stołu i spojrzała w jego kierunku. Nie wyglądało na to, żeby zastawił na nią jakąś pułapkę.

- Podczas roku szkolnego jestem stałym pracownikiem lokalnego systemu oświaty, zaś w czasie wakacji chwytam każdą okazję, jaka się nadarzy.

- Każdą?

- Każdą legalną. I przyzwoitą - dodała, dostrzegłszy błysk w jego oczach. - Czy naprawdę chcesz związać się ze swoją szwagierką? - zapytała po chwili wahania.

- Eloise - rzekł stanowczo. - Na imię ma Eloise. Jeśli masz umrzeć z ciekawości, to tak, bardzo poważnie rozważamy możliwość małżeństwa. Dla dobra Maude. Czy teraz mogę już odejść?

- Dla dobra Maude?! - Co za głupie pytanie, dziewczyno, pomyślała, przygryzając dolną wargę. - Na litość boską!

- Dla dobra Maude - powtórzył. - Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że dziewczynka potrzebuje matki. Jest małym uparciuchem, a ja nie mam ani czasu, ani doświadczenia, żeby wziąć ją w karby. Pomyślałem, że Eloise, siostra jej matki, okaże się właściwą osobą.

- Ach, tak. Z pewnością - powiedziała słabym głosem Lucy.

Wyszła za nim na werandę, chłonąc wzrokiem silne, szerokie ramiona, wąskie biodra, potężne bicepsy, które bynajmniej nie przydawały mu wyglądu bankiera, i chód przypominający stąpanie drapieżnego kota. Wyrządziłabym mu przysługę, gdybym odbiła go Eloise, pomyślała. Zastanawiam się tylko, jak się to robi.

Ponownie rzuciła spojrzenie na barczyste ramiona kołyszące się w marszu, jak podczas parady wojskowej.

Następnego dnia kupiła sobie nowy kostium kąpielowy - beżowy, jednoczęściowy trykot, który doskonale przylegał do ciała, a jednocześnie przysłaniał to, co najważniejsze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Drzwi do pokoju Maude były lekko uchylone. Światło w korytarzu wystarczało, by cokolwiek dojrzeć. Lucy ostrożnie zerknęła do środka, nie chcąc przeszkadzać dziecku, a jednocześnie czując, że przyciąga ją ono jak magnes. Łóżko znajdowało się po przeciwległej stronie pokoju, przy oknie. Widać było jedynie górę kocyka i wystające spod prześcieradła cztery paluszki. Dziewczynka oddychała głęboko, melodyjnie kończąc każdy wydech. Mimo to Lucy sprawdziła na wszelki wypadek inhalator i wraz z lekarstwem położyła na starej komodzie przy drzwiach.

Biedne dziecko, dumiała, wymykając się z pokoju. On i siostra jego zmarłej żony zamierzają się pobrać, ponieważ Maude potrzebuje matki? Nie najlepszy powód do wzięcia ślubu, zwłaszcza z taką kobietą jak Eloise. Lucy wiedziała już, że dziecko uważało Eloise za podłą macochę, a to mogło jedynie przysporzyć dodatkowych problemów. Astma bywa czasami powodowana napięciem nerwowym.

Naraz dobiegł ją gwizd czajnika. Przywołało ją to do rzeczywistości. Zeszła na dół, by zrobić sobie filiżankę herbaty.

Wróciła na górę i weszła do łazienki. Gorąca woda ukoiliła jej fizyczne i psychiczne udręki. A było ich wiele.

Ma zamiar ożenić się z Eloise, pomyślała, wychodząc z wanny i sięgając na podgrzewaną półkę po gorący ręcznik. Czemu miałby to robić, skoro

tutaj stoi dużo lepsza kandydatka? Odwróciła się, by spojrzeć w długie lustro przytwierdzone z tyłu drzwi. Skrzywiła się, a jej dobry nastrój prysnął.

Eloise była wysoką, szczupłą, długonogą blondynką z niebieskimi oczami. Z tego, co pamiętała, widząc ją w świetle księżycy, miała ogromne piersi - takie jakich mężczyźni pożądali we wszystkich powieściach. A oto ty, Lucastra Borden.

Niska, o pulchnym, lecz jędrnym ciele. Kształtne piersi zuchwale spoglądały na nią z lustra. Brązowe włosy sięgały ledwie ramion, gdyż nigdy nie miała czasu na pielęgnację dłuższych. I do tego zielone oczy.

- Całe szczęście, że go nie chcę - powiedziała do siebie wyniośle, wycierając się ręcznikiem. Złapała koszulę nocną i poszła do swego pokoju.

Około drugiej nad ranem Lucy nagle się przebudziła. Co to za hałas? Trzaskanie okiennic? Raczej nie.

Płacz. Płacz małej dziewczynki. A potem tupot nówek, które, przemierzywszy łazienkę, zatrzymały się pod jej drzwiami.

- Czy mogę wejść? Proszę.

Lucy usiadła na łóżku i sięgnęła po sukienkę.

- Oczywiście, że możesz.

Namaciała wyłącznik lampki nocnej i przytłumiony blask wypełnił pokój. Mała Maude stała w drzwiach do łazienki, przestępując z nogi na nogę. Lucy kiwnęła na nią ręką. Dziewczynka w szalonym pędzie przebiegła przez pokój i rzuciła się jej w ramiona.

- O co chodzi, kochanie?

- Ja... moje łóżko. Jest mokre. Całe.

O, Boże, pomyślała Lucy. Zmoczyła łóżko? To objaw niepokoju, napięcia. Oczywiście! To dziecko potrzebuje zrozumienia.

- Hej, wypadki się zdarzają. Chodź, posiedzisz w gorącej kąpieli, a ja przez ten czas zmienię ci pościel.

- To nie był wypadek.

- Nie? Odkręcę wodę, a ty zdejmij tę mokrą koszulę.

- Wierzysz mi?

- Oczywiście, że tak, kto by nie wierzył?

- Ona. - Małe usta zacisnęły się w wąską linię. - W nic by nie uwierzyła.

- Aha. Włóż palce do wody i zobacz, czy nie za gorąca.

- Dobra. Co mam zrobić z koszulą?

- Rzuć ją tam w ką. Zaraz ją zabiorę. Trochę płynu do kąpieli? Masz ochotę na zielone bąbelki?

- Cudownie! W domu nie mam płynu do kąpieli. Nie jesteś na mnie wściekła?

- Oczywiście, że nie. To się może każdemu zdarzyć. Ułóż się teraz wygodnie, a ja włączę ten mały piecyk. Zaraz się rozgrzejesz i poczujesz lepiej. Teraz pójdę i sprawdzę twoje łóżko.

- Bądź ostrożna.

- Oczywiście.

Ostrożna? pomyślała Lucy z rozbawieniem, wpadając do pokoju dziecka i zapalając światło. Jedno przesunięcie ręki po prześcieradłach przekonało ją, że Maude miała rację. Łóżko było zupełnie przemoczone. Lucy oniemiała. Nie miała najmniejszego doświadczenia, jeśli chodziło o intymne potrzeby dzieci, ale do tego łóżka musiały się dostać całe litry wody.

Potrząsnęła głową i ściągnęła całą pościel aż do materaca. Kiedy się pochyliła, kropla zimnej wody spadła jej na kark.

- O, nie - wymamrotała.

Wstała i spojrzała do góry. Na suficie widniała ogromna, ciemna plama. W samym jej środku zbierała się duża kropla wody, a potem jeszcze jedna, i jeszcze jedna!

- Maude! - krzyknęła Lucy wesoło. Pluskanie w wannie przycichło.

- Maude? - Lucy weszła do łazienki. - Nie martw się. Wcale nie jesteś odpowiedzialna za zmoczenie łóżka.

- Wiem - odparła dziewczynka. - Czy ty...? Ależ tak! Myślałaś, że zrobiłam siusiu do łóżka! - Okrągłe oczy dziecka były pełne powagi. - W twoim dachu jest dziura! - dodała z oburzeniem.

- A więc sama widzisz. - Lucy przyklekła obok wanny, a mała główka z ociekającymi wodą loczkami przytuliła się do niej. - To właśnie dlatego nie jestem niczyją mamą. Nie mam intuicji.

- Nie przejmuj się - odparła Maude. - Nauczysz się. Ale najpierw musisz zreperować dach.

- Najpierw muszę poznać kogoś z banku, kto zechciałby pożyczyć mi trochę pieniędzy. - Lucy potrząsnęła głową. - Pożyczanie pieniędzy z banku to naprawdę ciężka praca. Na ogół odmawiają.

- Znam mnóstwo ludzi w banku - powiedziała dziewczynka. - Może pójdziemy tam jutro razem i odwiedzimy któregoś z nich?

- Wspaniały pomysł - odparła Lucy sceptycznie. Obeszła już większość banków w okolicy. Na próżno. Mimo to, jeśli jutro rano wyjdzie słońce, może warto będzie spróbować. Wczynie rano, ponieważ ten mężczyzna pewnie będzie chciał jak najszybciej odebrać swoją córkę!

- Chodź, kochanie. Przez resztę nocy będziesz musiała dzielić ze mną łóżko.

Lucy kręciła się i przewracała z boku na bok. To dlatego, że nie jestem przyzwyczajona z kimś spać, pomyślała sennie i spjrzała na drobną figurkę wyciągniętą obok.

- Ciekawe, o której otwierają banki? '

- O dziewiątej - odpowiedziała Maude. - Śpij, wszystko będzie dobrze.

Tak, na pewno, pomyślała Lucy, wkładając obie dłonie pod poduszkę i wsuwając pod głowę. Kredyt na remont... Czemu by nie zbudować nowego domu?

Snując plany i marzenia, zapadła w głęboki sen.

- Bank mojego taty jest tam - wskazała Maude.

- Na rogu Highway i Main Street.

Lucy wiedziała o tym doskonale. Nie dalej jak rok temu był to ostatni etap jej, skazanej na niepowodzenie, wielkiej wyprawy po uzyskanie kredytu. W wydziale kredytowym pojawiło się jednakże parę nowych twarzy. Maude z całą zuchwałością dziecka poprowadziła ją prosto do biurka wyposażonego w niezwykle imponującą mosiężną inskrypcję w hebanie: „John Ledderman, Kredyty”, oraz w niezwykle imponującego młodego

mężczyznę. Wysoki, smagły, przystojny, a do tego dysponujący podpisem, który mógł przeistoczyć domostwo Bordenów w przedmiot dumy i doskonałości. Maude przepchnęła się do przodu i powiedziała:

- Panie Ledderman, czy pan mnie pamięta? Jestem Maude Proctor. Mój tata jest właścicielem tego banku.

Lucy pomyślała, że była to najpełniejsza rekomendacja, jakiej urzędnik mógł potrzebować.

- Oczywiście, Maude. Co mogę dla ciebie zrobić?

- To jest moja przyjaciółka, Lucy Borden - oświadczyła dziewczynka, usuwając się na bok.

- Lucy Borden? - Ledderman najwyraźniej szukał czegoś w pamięci. Nagle w jego oczach pojawił się błysk. - Lucastra Borden! Jakże miło panią poznać!

- Naprawdę?

Lucy odgarnęła włosy z twarzy. Urzędnik najwyraźniej pomylił ją z jakąś inną Lucy Borden.

- Oczywiście, że tak, panno Borden. Czy mogę mówić do pani panno Lucy?

Wykonała ręką nieokreślony ruch. Mógł ją nazywać wszystkimi imionami Biblii, jeśli tylko był gotów udzielić jej kredytu.

- Lucy Borden. Coś podobnego. Nie dalej jak wczoraj moja narzeczona i ja rozmawialiśmy o pani.

- Jego oczy błyszcząły. - Naprawdę! Mary Norris. Siostra Norris z Domu Spokojnej Starości. Powiedziała mi, że... zresztą to nieważne. W czym mogę pani pomóc, panno Lucy?

- Potrzebuję... - zaczęła dziewczyna, lecz nie była w stanie wydusić z siebie dalszych słów. Odkaszlnęła, wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz.

- Potrzebuję kredytu w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, żeby wyremontować mój dom.

Kropka, czas na oddech. Wciąż się uśmiechał, a więc nie zwalała go z nóg. Poprosił gestem, by usiadła.

- Czy to wszystko? -Tak... na razie.

- Czasami lepiej jest pożyczyć więcej, niż się potrzebuje - zasugerował łagodnie.

- Ale mój dom nie jest...

- Nie ma się czym martwić. - Roześmiał się tak, że ludzie przy innych biurkach spojrzeli w ich stronę. Wzruszył ramionami, poprawił marynarkę i kontynuował: - Bank często udziela kredytów na podstawie całkiem niewymiernych przesłanek. A pani rokowania są wspaniałe. To znaczy pani i pani Moore.

- W takim razie niech będzie dwadzieścia tysięcy

- oświadczyła Lucy. - Tak na wszelki wypadek. Gdzie mam podpisać?

- Och, to trochę potrwa. - Westchnął. Najwyraźniej sprawiał mu przykrość fakt, że nie może od razu sięgnąć do dolnej szuflady i wyciągnąć stamtąd pieniędzy. - Podejrzewam, że około jednego dnia. Przyniosę osobiście wszystkie dokumenty, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Lucy.

- Och, nie - odparła Lucy z podnieceniem. - Gdzie pan był rok temu, kiedy pana potrzebowałam?

- Przepraszam?

- Nic, nic. Wszystko wspaniale. Będę jutro w domu przez cały dzień. Przyniesie pan pieniądze?

- Niezupełnie - powiedział z uśmiechem. - Pieniądze zostaną zdeponowane na pani nazwisko tu, w banku. Przyniosę książeczkę czekową, którą będzie się pani mogła posługiwać.

- Robienie z panem interesów to prawdziwa przyjemność - wyjąkała Lucy. - Nie chciałabym natomiast załatwiać niczego z panem Proctorem. Ten człowiek sprawia, że... nieważne.

- Czy to nie dziwne, w jak różny sposób reagują różni ludzie? - odparł. - My wszyscy uważamy go za wspaniałego człowieka. Sponsorujemy obecnie drużynę skautów, poza tym wydaje mi się, że pan Proctor jest w zarządzie Kościoła Kongregacjonalistów i w drużynie Małej Ligi...

- To musi być jakiś inny Proctor - mruknęła dziewczyna. -
Chodź, Maude.

Mała zatrzymała się przy drzwiach frontowych.

- Pośpiesz się - syknęła Lucy. - On może zmienić zdanie!

Pomknęły szybko, by się przekonać, że lis, którego zostawiły za sobą, nie był nawet w połowie tak przerażający jak wilk, który znajdował się przed nimi. Na najwyższym z czterech betonowych stopni stał Jim Proctor.

Ubrany był oficjalnie, w ciemny, jednorzędowy garnitur, kremowo-białą koszulę i matowy, niebieski krawat. Okropnie, pomyślała Lucy, ale uczyniła, jak na nią, rzecz zupełnie wyjątkową. Nie odezwała się ani słowem.

- No proszę. Nic dziwnego, że w domu nie było śladu żadnej z was - odezwał się gruby, niski głos.

- Dzień dobry, tato. Lucy chciała zobaczyć, jak wygląda twój bank.

- A ja chciałem, żebyś spędziła ten dzień z Eloise - rzekł do córki. - Nie mamy wiele czasu, by się nawzajem do siebie dopasować.

- Ale, tatusiu, wczoraj wieczorem...

- Żadnych wymówek! Chcę, żebyś teraz wróciła do domu - kontynuował. - Eloise czeka na ciebie. Wkrótce tam wpadnę, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie dobrze. Chciałaby pani coś powiedzieć, panno Borden?

- Owszem, mam wiele do powiedzenia - odparła Lucy stanowczo i odchrząknęła.

- Ale nie tu i nie teraz - przerwał Proctor.

- Maude, wskakuj do samochodu. Frank zawiezie cię do domu.

- Ale Lucy...

- Piękny dziś dzień. - Na jego twarzy pojawił się grymas, który od biedy mógłby być wzięty za uśmiech. - Jestem pewien, że panna Borden będzie szczęśliwa, mając czas na spacer w promieniach słońca.

Dziewczynkę wciśnięto do cadillaca, bankier skinął jej w przejściu i oto Lucy została sama na schodach. Jednakże drzwi otworzyły się ponownie i wysunęła się zza nich głowa Proctora.

- Cieszę się, że zobaczyłaś mój bank. Mam nadzieję, że już tu nie wrócisz, gdyż drzę na samą myśl o tym, co mogłoby się stać, gdybyśmy mieli załatwiać ze sobą jakiś interes. - Tym razem zniknął na dobre.

- Taak - zamruczała Lucy pod nosem i pomaszerowała w stronę domu opieki, który znajdował się trochę dalej, przy tej samej ulicy.

Zapowiadał się dzień pełen niezwykłych wydarzeń, nie było co do tego wątpliwości. Kiedy wyszła zza rogu, ujrzała przed sobą niecodzienny ruch. Ogromny meblowóz stał zaparkowany przed głównym wejściem domu opieki, a po obu jego stronach tłoczyły się dwa czy trzy inne samochody. Jacyś mężczyźni wynosili z budynku meble.

Wewnątrz szum rozmów zagłuszał inne hałasy. Nie mogąc dojść do słowa, Lucy wzruszyła ramionami i poszła do pokoju Angie, gdzie panowało jeszcze większe zamieszanie.

- Angie, co ty robisz, na litość boską, na tym wózku?

- Och, Lucy! Dzięki Bogu, że przyszedłeś!

Ręka starszej pani nerwowo skubała frędzle koca, który okrywał jej nogi.

- Co się stało?

- Nie słyszałaś? Myślałam, że to dlatego przyszedłeś!

- Nic nie słyszałam. O co chodzi?

Po pomarszczonych policzkach płynęły łzy.

- Bank. Przejeli dom na podstawie długu hipotecznego. Musimy się stąd wszyscy wynieść w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Nie wiem, dokąd pójść!

Przejeli dom! Nic dziwnego, że był taki wesoły, pomyślała Lucy. Jim Proctor w szczytowej formie. Skopać jakiegoś biednego żebraka, wyrzucić na bruk schorowanych staruszków, i to wszystko przed śniadaniem! Nawet nie przyszło jej do

głowy, że w mieście są trzy banki i każdy z nich mógł dokonać przejęcia. Była pewna, że to posunięcie mogło zostać zaplanowane tylko przez największego nikkzemnika, Jamesa Proctora.

- Jak to nie masz dokąd pójść, kochanie? Przeprowadzisz się do mnie, ot co. Mam tyle pustych pokoi, a ty się martwisz, że nie masz się gdzie podziać?

- Lucy, nie możesz przecież poświęcić tyle czasu na opiekę nade mną. To okropnie ciężka praca.

- Nie tak bardzo. A poza tym nie znalazłam żadnego zajęcia na wakacje. Mamy czas do dnia otwarcia szkół we wrześniu, zanim cokolwiek urośnie do rangi prawdziwego problemu. Teraz pójdę do domu po samochód, a ty poproś pielęgniarki, żeby cię spakowały, dobrze?

Łzy obeschły w mgnieniu oka.

- Zawsze chciałam znów zamieszkać przy plaży - zwierzyła się jej Angie. - Ci ludzie są mili, ale... czy ty na pewno wrócisz?

- Na pewno. Przyrzekam. - Lucy pochyliła się i ucałowała pobrużdżone czoło. - A poza tym pomyśl, o ile lepsze będzie jedzenie!

Samochód Lucy był prawdziwym zabytkiem. Zakupiony przez jej dziadka jeszcze przed drugą wojną światową, ośmiocylindrowy czarny packard stał na kołkach przez tyle lat, że niemal został zapomniany. Aż któregoś dnia miejscowy mechanik postanowił spłacić Lucastrze długi poprzez przywrócenie go do stanu używalności. Teraz wóz stał zaparkowany przed domem, a Lucy usiłowała wnieść do środka wszystkie manęły należące do Angie Moore, którymi był załadowany.

Nie było to łatwe, zwłaszcza że niebem zawład/ nęło popołudniowe słońce. Lucy westchnęła więc z ulgą, kiedy tuż za nią zatrzymał się duży samochód, a po chwili odezwał się wesoly głos:

- Potrzebujesz pomocy?

- Za wszelką cenę - odparła, odwracając się. - Wynajęłabym samego Lucyfera, żeby tylko... Ach, to ty!

- Tak jak powiedziałaś, sam Lucyfer.

Śmiał się, wysiadając z cadillaca. Wyglądał jakoś inaczej. Nie chodziło jedynie o ubranie, choć i to było zaskakujące. Dżinsy, biały sweter z dekoltem w łódeczkę i znoszone espadryle założone na gołe stopy. Nie, to było coś innego. Może szeroki uśmiech? Albo wyraz oczu? Czemu nie? - przypomniała sobie. Miał cały ranek na zajmowanie posiadłości dłużników.

- Wykonałeś swój plan na dzisiaj? - spytała.

- Jaki plan?

- Czyżby banki nie miały żadnych norm do wykonania, jeśli chodzi o przejmowanie zadłużonych posiadłości?

Przekrzywił głowę i począł niespiesznie studiować jej twarz i figurę.

- Normy... Nie mów mi o nich. Dopadną mnie prędzej czy później.

W międzyczasie, pomyślała, potrzebuję pomocy. Spójrzcie na te mięśnie! Ciekawe, czy on trenuje ze sztangą, a może ćwiczy podnosząc dziewczyny i rzucając na swoje łóżko? Zaczerwieniła się i odwróciła w drugą stronę.

- Te wszystkie rzeczy z samochodu - wskazała ręką. - Urządzamy Angie sypialnię w mojej bibliotece na parterze. Trzeba to wszystko tam przenieść.

- Zrób trochę kawy - zarządził, chwytając prawie połowę ładunku znajdującego się na tylnym siedzeniu. — Packard z 1934 roku - odezwał się po chwili pełnym czci głosem, przeciągając wolną ręką po błyszczącym czarnym lakierze. - Jeździ?

- Oczywiście, że jeździ - warknęła Lucy.

- Dobrze już, dobrze, tak tylko pytałem. Wiedziałem, że wy, kolekcjonerzy, jesteście zazdrośni, ale...

- Idź już z tym - rozkazała. Kolekcjonerzy?! Podniósł paczki i pobiegł do domu.

Angie Moore siedziała na swoim wózku pośrodku salonu. Zawsze ciekawe oczy starszej pani rozblęły.

- No, coś podobnego! - zawołała. - Mały Jimmy Proctor! Nie pamiętasz mnie?

- Obawiam się, że nie, proszę pani.

- I przestań mówić do mnie „proszę pani”. Przetrzepywałam ci tyłek trzy czy cztery razy do roku za podkradanie jabłek z mojego drzewa. Mieszkaliśmy dwa domy dalej. Był wtedy z ciebie mały łobuziak, a teraz... Ależ się zmieniłeś!

- Tak, proszę pani. Urosłem.

Jego uśmiech był tak zaraźliwy, że Angie natychmiast go odwzajemniła.

- Ale w dalszym ciągu łobuz z ciebie?

- Cóż, ciężko się do tego przyznać, będąc bankierem.

- Coś takiego! - Angie zachichotała. - Wysoki, przystojny i do tego ma pracę!

Powoli wszystko mu się przypominało. Mała starsza pani, wówczas dużo młodsza, delikatna, czarująca. Przetrzepywała pupę za kradzież jabłek, po czym częstowała lunchem, podczas gdy winowajca dochodził do siebie. Zresztą o wiele lepiej było dostać lanie od Angeli Moore, niż zostać doprowadzonym przed oblicze ojca, którego ręka pozostawiała o wiele trwalszą pamiątkę.

Uśmiech zniknął z twarzy Angie.

- Możliwe, że będę cię potrzebować, Jimie Proctor - powiedziała łagodnie. - Mam problem. Nie jesteś żonaty, prawda?

- Nie, obecnie nie - przyznał.

- To dobrze. Tam na zewnątrz jest wspaniała dziewczyna. Cudowna. Brakuje jej tylko jednej rzeczy. Powinna wyjść za mąż.

- A kto tak twierdzi? - Proctor zbladł.

- Ja. Ta dziewczyna potrzebuje męża, żeby się zrealizować. Męża i dwoje albo troje dzieci. To jest cel jej życia, a ma

wyjątkowe podejście do dzieci. Stworzylibyście doskonałą parę, ty i Lucy.

- Zaraz, zaraz, proszę chwilę poczekać. - Zrzucił na podłogę część swojego ładunku. - Brak kondycji - stwierdził, rozcierając ramię. - Myśli pani, że ożeniłbym się raz dwa tylko po to, żeby pomóc tej kobiecie się zrealizować? Ja już przeszedłem tę drogę. Mam nawet małą córkę, którą muszę się opiekować.

- Naprawdę? A więc jeszcze jedno - nikt w mieście nie byłby lepszą matką od Lucy Borden.

- Więc czemu przez ostatnie lata nie zajęła się matkowaniem swoim własnym dzieciom? Nie jest już taka młoda.

Rzeczywiście, pomyślał, nigdy nie widziałem lepiej dobranej pary niż Lucy i Maude. Ale, do diabła, namówiłem już Eloise, żeby się wprowadziła. Jedna wystarczy. Być może okaże się wspaniałą matką, ale w łóżku to klekoczące kości i zły humor. Z drugiej strony Lucy Borden wydaje się tak rozkosznie pulchna, że każdy mężczyzna chciałby... Spokojnie, Proctor. Zaszedłeś już zbyt daleko, żeby się wycofać.

Gdy wracał do samochodu, doszły go głosy jakiejś ostrej wymiany zdań. Kłótnia? Piskliwy sopran atakował łagodny alt.

- Eloise? Co ty tu robisz?

- Jestem rozdrażniona. Ale teraz, kiedy cię znalazłam, to już nieważne. Przrzekłeś, że popływamy łódką, kochanie, a jesteś już godzinę spóźniony.

Odwróciła się do układającej pakunki dziewczyny.

- I nie myśl... Lucindo, prawda? Nie myśl, że nie jestem ci wdzięczna za to, że zaopiekowałaś się Maude. Osobie w moim wieku trudno jest znaleźć wspólny język z dziećmi. Och, nauczę się, oczywiście, ale to wymaga czasu. Jim i ja jesteśmy niemal w tym samym wieku, co zapewne tłumaczy, dlaczego rozumiemy się lepiej niż wy dwoje.

- Dziękuję - odparła Lucy. - Nie wiedziałam, że jestem od ciebie o tyle młodsza.

- O Boże, ale jesteśmy nudni. - Blondynka cofnęła się o krok i zmieniła temat. - Nie jest jeszcze za późno na żagle, Jim?

- Nie, oczywiście, że nie. - Spojrzał na zegarek.

- Gdzie jest Maude?

- Z pewnością ty nie...? Tak, gdzie jest kochane małżeństwo? Z twoim marynarskim doświadczeniem, kochanie, będziemy doskonale się bawić!

- Z pewnością - odparł ponuro. - O to przecież chodzi. Musisz jednak zrozumieć, Eloise, że dwa lata służby na atomowej łodzi podwodnej nie nauczyły mnie żeglowania. Gdzie jest dziecko?

- Nie mam zielonego pojęcia. Odmówiła zjedzenia lunchu i dokądś pomknęła.

- Lucy - Proctor pochylił się ku dziewczynie - przyślę z domu paru mężczyzn. Jeśli będziesz potrzebowała, zatrzymaj ich na resztę dnia. Są wspaniali w podnoszeniu i przenoszeniu ciężarów. Czy pani Moore zostanie u ciebie przez jakiś czas? - spytał po chwili zastanowienia. - Znałem ją, kiedy byłem... znacznie młodszy.

- Tak, Angie zamieszka ze mną. - Zwykle wesoły głos Lucy stał się napięty i lodowaty. - Przebywała w Domu Spokojnej Starości, wiesz?

Skinął głową, chwycił szczupłe ramię Eloise i z ogromną szybkością ruszyli w górę plaży. Naturalnie, że wie, pomyślała Lucy i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, obserwowała oddalającą się parę.

Doktor Jekyll? Mister Hyde? Wydawał się dzisiaj taki... miły.

Mężczyźni pojawili się, zanim zdążyło upłynąć dziesięć minut. Obaj miejscowi, szczęśliwi, że mogą urozmaicić sobie rutynowy dzień pracy. Do południa nowy pokój Angie został urządzony.

- Nie wszystko jest jeszcze gotowe - powiedziała Lucy, otwierając szafę.

- Tak, widzę - potwierdziła Angie, podjeżdżając bliżej wózkiem.

Dziewczyna dojrzała w oczach starszej pani szatański błysk i odwróciła się, by zajrzeć do szafy.

- Maude Proctor!

- A więc to jest mała Proctorówna?!

- Co ty tu robisz? - Lucy siliła się na nutę potępienia w głosie.

Dziewczynka milczała, a na jej twarzy widniał upór.

- Chowa się - zauważyła Angie. - Małe dziewczynki często to robią, a przynajmniej robiły za moich czasów. Powstaje tylko pytanie: dlaczego i przed kim?

Maude nie wydała jednego dźwięku. Przez chwilę wodziła wzrokiem za Lucy, po czym jej spojrzenie powędrowało ku Angie.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała starsza pani. - Gdybym mogła cofnąć się o parę lat, być może byłabym teraz twoją babcią. - Odwróciła się do Lucy, by to wyjaśnić. - Alfred był wspaniałym mężczyzną, a ja, cóż, w latach dwudziestych znana byłam ze swego śmiałego, ubioru i zachowania. Uwierzyłybyś w to?

Lucy wyglądała na zaskoczoną.

- Ale...

- Nie byłam dostatecznie szybka - przerwała jej Angie. - Miałam konkurentkę z szansą na zwycięstwo. Kandydatkę jego matki. Byłam jeszcze wtedy zbyt naiwna. Moja przeciwniczka oświadczyła, że jest w ciąży. A w owych czasach, moja droga, wchodziło w grę tylko jedno rozwiązanie. Alfred ożenił się z nią.

- Coś podobnego!

- Tak, a ich pierwsze dziecko urodziło się dopiero czternaście miesięcy później. Ja miałam, oczywiście, złamane serce. Przez miesiąc czy nawet dłużej marniałam z rozpacz, po czym wybrałam się w rejs na Karaiby, gdzie spotkałam... ale to już zupełnie inna historia.

- I naprawdę była pani prawie moją babcią?

- Naprawdę, dziecinko. Wyjdź stamtąd. Nikt dzisiaj nie utrzymuje szaf w idealnej czystości.

- Tak - zakomenderowała Lucy. - Wyjdź stamtąd. A właściwie przed czym się chowasz?

- Przed wątróbką i brokułami - oświadczyła Maude. - Ona chciała mnie zmusić, żebym to zjadła na lunch. Fu!

- Powinnam cię wysłać prosto do domu - odparła Lucy. - Twój ojciec i tak już jest na mnie zły.

- Ja nie uciekałam przed moim tatą - oświadczyła Maude. - On jest miły. Tylko przed wątróbką. I przed nią. - Uśmiechnęła się lekko. - A poza tym już za późno. Przed chwilą widziałam, jak żaglówka odpływa od przystani.

- Lucastra? - wtrąciła się Angie. - Mówiłaś, że musisz coś załatwić. Dlaczego nie zostawisz dziecka ze mną? Pomoże mi się rozpakować.

Właściwie czemu nie? - pomyślała Lucy. Dlaczego czuję się, jakby świat stanął do góry nogami? Dlaczego przyjmuję rozkazy w swoim własnym domu i kręcę się bezmyślnie za tym mężczyzną, jak gdyby był główną wygraną na loterii?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Szef ekipy budowlanej zjawił się następnego popołudnia, w niecałą godzinę po przybyciu Johna Leddermana, pracownika banku, który przyniósł ze sobą książeczkę czekową. Cała trójka zebrała się wokół szerokiego stołu ustawionego przez majstra na piasku za domem. Niektóre z jego planów leżały już rozłożone. Ledderman miał na sobie marynarkę i krawat - uniform bankiera. Henderson był ubrany w podkoszulek i dżinsy, które wyglądały, jakby pamiętały dzień lądowania aliantów w Normandii.

- To było straszne - komentował urzędnik. - Zamknięcie Domu Spokojnej Starości, prawda? Moja narzeczona zupełnie się załamała, ale już zaproponowano jej posadę w Toby Hospital. Zawsze powtarzam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Zawsze pan to mówi? - mruknęła Lucy. - Gdzie mam podpisać?

- O tu, w miejscu zaznaczonym krzyżykiem - poinstruował. - Tak, zawsze to powtarzam.

- A ja nie - odezwał się majster Henderson. - Cholerni bankierzy. Zrujnowali kraj w 1932 roku i robią wszystko, żeby znów do tego doprowadzić.

- Och, nie wiem - odparł Ledderman. - Nie można posądzać o chciwość tylko bankierów. Winy wystarczy dla wszystkich. Cóż, wszystkiego najlepszego, panno Lucastro. Jestem pewien, że będzie pani miała pod ręką wystarczającą kwotę pieniędzy, żeby...

- Potrzebny nowy dach - wtrącił Henderson.

- Wszystkiego najlepszego dla pana i pana narzeczonej - powiedziała pośpiesznie Lucy.

Kątem oka dostrzegła Tego Mężczyznę kroczącego po plaży w towarzystwie dwóch goryli. Chciała uniknąć jakichkolwiek dalszych konfrontacji. Chwyciła ramię Leddermana i

pośpiesznie poprowadziła go za róg domu do samochodu. Zanim wróciła, majster i Jim Proctor nawiązali rozmowę.

- To tak jak w „Dobrej Księdze” - mówił Henderson - „Ci, co budują na piachu” czy coś takiego. Wszystkie stare domy, jak ten panny Lucastry, zbudowano jeszcze na skale. A niech was Bóg broni kupować dom po drugiej stronie kanału. Ziemia eroduje tam szybciej, niż wasz pies zdąży machnąć ogonem!

- Co za ulga - odparł Proctor. - Nie mam psa, tylko małą zagubioną córeczkę.

Odwrócił się i spojrzął znacząco na Lucy. Za jego plecami dwaj goryle badali ziemię jak para psów gończych. Ślady stóp na piasku? - zastanawiała się Lucy. Teraz, kiedy już wszystko zadeptali?

- Znów zniknęła? - Schowała ręce za plecy, starając się wyglądać jak najniewinniej.

- Owszem, znów zniknęła. Czy przypadkiem...?

- Ja? Nie...

- Tak myślałem - odparł. - Jeślibyś ją jednak zobaczyła, odeślij ją do domu, dobrze?

- Oczywiście, po to są przecież sąsiedzi. Czy ktoś będzie tam przez cały dzień?

- Tak.

Sprawiał wrażenie, jakby nie wierzył ani jednemu jej słowu. Wsadził ręce do kieszeni i przez chwilę kołysał się na piętach, lustrując ją wzrokiem od stóp do głów.

- Cieszę się, że będziesz odrestaurowywać swoją posiadłość. Dobrze to zrobi całej okolicy. Udało ci się otrzymać kredyt w banku?

Odwróciwszy wzrok, Lucy poczęła gołą stopą ryc w piasku.

- Tak, dostałam kredyt.

- Miałaś szczęście - odparł, wolno potrząsając głową. - Do czego to dochodzi w tej bankowości. Któregoś dnia to wszystko się zawali.

- Co, mój dom?

- Nie, mój interes - odparł, śmiejąc się cicho.
- Który bankier o zdrowych zmysłach pożyczylby ci pieniądze na hipotekę tego...
- Cóż, mam ukryte bogactwa - zapewniła go.
- Jasne, że tak.

Podniósłszy głowę, odkryła, że jego wzrok zatrzymał się na wysokości jej piersi, do których wiatr przylepił cienką bawełnę stanika sukienki.

- Nie miałam niczego takiego na myśli - warknęła.
- Nie patrz tak. Czy dziewczyna nie może mieć chwili spokoju nawet na swoim własnym podwórku?
- Nie... To znaczy tak. - W jego głosie zabrzmiała nuta zakłopotania, jak gdyby zupełnie stracił wątek.
- Tak, oczywiście. Jakiś młody urzędnik bankowy zbije na tym przedsięwzięciu fortunę. Albo straci ostatnią koszulę. Cieszę się, że znów się spotkaliśmy, Henderson - dodał przyjaźniejszym tonem. - Niech pan da tej młodej damie prawdziwy popis swojej sztuki za jej pieniądze. - Podniósł palec w geście pożegnania i z godnością oddalił się plażą.

- Za twoje pieniądze - wymamrotała Lucy pod nosem.

Powoli rozprostowała palce. Nie potrafiła powstrzymać westchnienia ulgi.

- Dobry człowiek - powiedział Henderson. - I co z tym dachem?

- Tak, co z dachem...

Lucy śledziła wzrokiem dwóch goryli wolno kroczących plażą w ślad za swoim szefem. Dobry człowiek? Sunie po plaży niczym krążownik w orszaku dwóch bostońskich statków wielorybicznych. Dobry do czego? W jej wyobraźni zarysował się obraz. Ciemna deszczowa noc, ogień trzaskający na kominku w jej sypialni. Czysto, schludnie, porządnie i on... co on właściwie robi na moim łóżku bez koszuli?

- Panno Lucy?

- Tak, proszę naprawić dach, panie Henderson. Potrzebna nam również druga łazienka na dole.

- Będzie kosztować kupę forsy - odparł, cedząc słowa.

- Proszę to załatwić. Wszystko. - Jej głos podniósł się o połowę oktawy, jak gdyby znajdowała się na skraju hysterii. - Wreszcie doszłam do pieniędzy, panie Henderson. Cudzych.

Angela Moore nucąc wjechała wózkiem w jasną plamę światła wpadającego południowym oknem. Zatrzymała się i uśmiechnęła do wchodzącej Lucy.

- Nie projektują już dzisiaj takich domów jak kiedyś - oświadczyła. - Dawniej nie było domu nie posiadającego na południowej ścianie okien, przez które wpadałoby zimowe słońce.

- Masz rację - zgodziła się Lucy. - Nie widziałaś gdzieś w pobliżu małej Maude? Nie, nie mów mi. Naprawdę nie chcę wiedzieć. Ja...

- Coś mi się wydaje, że więcej czasu spędzasz, martwiąc się o niego, niż robiąc cokolwiek innego - odparła starsza pani. - A telefon dzwoni jak oszalały.

- O jakiego niego?

- Tego niego, który mieszka obok. Znów zgubił córkę?

- Tak, a my jesteśmy pierwszymi podejrzanymi. Przychodzi tutaj, jakby był wysłannikiem szeryfa i ciągnie za sobą tych dwóch zabijaków. Ośmiu ludzi zatrudnia w swoim domu, uwierzyłybyś w to? Wydawałoby się, że osiem osób powinno poradzić sobie z wytropieniem jednej małej dziewczynki.

- Tak... Mówiła, że musi iść do toalety i że nie da rady dojść do domu. Nie mogłam jej przecież odesłać, prawda?

- Nic mi nie mów - błagała Lucy. - Nie chcę o niczym wiedzieć. Naprawdę. Jakie telefony?

- W sprawie twojego ogłoszenia w gazecie. Tego o klubie pływackim dla dziewcząt. Zapiisałam ich nazwiska i numery telefonów. Wiesz co, ciesz się, że bank zamknął ten dom

opieki. Od lat nie byłam taka zajęta i nie bawiłam się tak wspaniale! Czuję, że krew krąży mi żywiej.

- Tak... Nie chcę mieć z nim nic do czynienia, a jeśli jego córka jest... nie, nie chcę o niczym wiedzieć.

- Nie chcesz mieć z nim nic do czynienia. - Angela Moore zachichotała. - Lucy Borden, czy nie wstyd ci tak kłamać?

- Ja nie kłamię - odparła Lucy rozpaczliwie.

- Nie, ja... On...

- Właśnie tak to wygląda. Nie walcz z tym. Miłość jest cudowną rzeczą, a Jimbo to wspaniały młody mężczyzna. Masz wypisane na swojej słodkiej, małej twarzązeczce zafascynowanie nim.

Lucy poczuła, jak pułapka zamyka się wokół niej.

- Jimbo?

- Tak nazywało go całe sąsiedztwo, kiedy miał pięć lat. Nie słyszy się już tego w okolicy.

- Nie jestem zakochana w tym mężczyźnie

- oświadczyła Lucy powoli i wyraźnie.

- Więc co zamierzasz zrobić, uciec od niego czy pójść za nim?

- Zamierzam... ukryć się. - Dziewczyna zerwała się z fotela. - Będę prowadzić wspaniały klub pływacki. - Ostentacyjnie podeszła do biurka, gdzie leżała lista ewentualnych członków.

- Tak, uciec i ukryć się - zawołała za nią Angie. - W moich czasach kobiety robiły to samo, a potem żałowały. Bawiłabyś się dużo lepiej, zostając z nim, kochanie.

Lucy z trudem weszła po schodach do łazienki. Bolały ją dłonie, lecz dopiero stojąc przed lustrem, zauważyła, że musiała mieć zaciśnięte pięści. Paznokcie wbiły się w skórę, pozostawiając ślady.

- Do licha z nim! - powiedziała mimo woli. Zasłona od prysznicy zaszeleściła i mała Maude wystawiła główkę.

- Masz na myśli mojego tatę? Czy on już poszedł?

- Maude Proctor!

Zasłona z szelestem powróciła na swoje miejsce. No, Lucy Borden, pomyślała, sama się o to prosiłaś. Gdybyś wcześniej tak nie matkowała, teraz nie znalazłabyś się w takiej sytuacji. Trzeba było być i twardszą w stosunku do dziecka. Matkowanie! Co za okropne słowo! Nie było jednak sensu straszyć małej.

Delikatnie odsunęła zasłonę. Skulona dziewczynka przycupnęła w kącie. Cała się trzęsła.

- Maude, w tej chwili wyjdź spod prysznic! Dziewczynka poruszyła się i prześlizgnęła wzdłuż wanny, najwyraźniej chciała być poza zasięgiem Lucy.

- Nie wrócę tam - oświadczyła wstając. - Nigdy.

- Mocne słowa - odparła Lucy, podając wychodzącemu dziecku rękę. - W takim razie dokąd pójdziesz?

- Chciałam zostać tutaj, ale teraz widzę, że jesteś takim samym podłym dorosłym jak on. Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale nie wrócę tam.

Dziecko zdołało wydostać się z wanny i wyplątać z zasłony, po czym sztywno się cofnęło. W głowie

Lucy zabrzęczały dzwonki alarmowe. Cztery lata nauczania w szkole wyrobiły w niej określone poglądy dotyczące dziecięcych reakcji.

- Maude, o co chodzi?

- O nic.

Dziewczynka skuliła się i, skrzyżowawszy ręce na brzuszku, starała się poruszać tak, by nie pokazać Lucy pleców.

- Takim samym dorosłym jak on?

- Próbowałam mu powiedzieć, ale nie chciał słuchać.

Dziewczynka odsunęła się dalej. Cienka bawełniana bluzka miejscami była przyklejona do jej ciała. I ten zapach.

- Powiedz mi, co chciałaś mu powiedzieć.

- Po co? Nic nie możesz zrobić! On cię nawet nie lubi.

Dziecko pochyliło się i zalało łzami. Lucy próbowała jej dotknąć, ale Maude na to nie pozwoliła. Przesunęła się, unikając jej dłoni.

- To było kłamstwo - szlochała dalej dziewczynka. - On cię bardzo lubi.

- Maude, zdejmij bluzkę.

- Nie!

- Maude, zdejmij bluzkę albo ja to za ciebie zrobię!

- Nie ośmieliłabyś się!

- Za chwilę się o tym przekonasz.

- No dobrze, dobrze. Ja... przylepiła się.

Dziewczynka próbowała odpiąć guziki białej bluzeczki, aż wreszcie Lucy zrobiła to za nią. Szczupłe ramionka z trudnością wysunęły się z krótkich rękawów. Dziewczyna delikatnie obróciła Maude i oderwała bluzkę od jej pleców. Znow ten zapach. Co to było?

- Boże drogi! - krzyknęła. - Kto to zrobił? Plecy dziecka pokryte były gęstą, lepką cieczą.

Lucy powąchała. Wiele czasu upłynęło już, odkąd jej dziadek regularnie zaglądał do swojej butelki z ulubionym brandy. Plecy dziecka i bluzka były tym przesiąknięte.

- Kto to zrobił? Czy to twój ojciec?

- Mój tata nigdy by czegoś takiego nie zrobił - zawzięcie broniło się dziecko.

- W takim razie kto?

Mała bródka uniosła się ku górze. Lucy wiedziała, że nie otrzyma odpowiedzi, ale komu była ona potrzebna? Czowała, jak powoli wzbiera w niej gniew. Jeśli on sam tego nie zrobił, powinien wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny! Bez zastanowienia zarzuciła dziewczynce na ramiona miękkie ręcznik kąpielowy i chwyciła ją za rękę.

- Chodź!

Hałaśliwie zbiegły ze schodów, choć Maude stawiała niewielki opór.

- O, Boże! - wykrzyknęła pani Moore, kiedy przemknęły obok niej z prędkością błyskawicy. - Co to za obrzydliwy zapach, jak w speluncie?

Lucy, niosąca w drugim ręku bluzkę dziecka, skrzywiła się tylko. Przeszklone drzwi zatrzasnęły się za nimi.

- Nie chcę tam iść - jęknęła Maude, kiedy mijały skałę zaznaczającą granicę pomiędzy obiema posiadłościami.

- Chodź i przestań płakać. Wyrównasz rachunki.

- Naprawdę? - Dziecko podbiegło z rozjaśnioną twarzą.

- Kobiety nie muszą już znosić tego typu rzeczy. Nie w dzisiejszych czasach - odparła Lucy, kiedy wchodziły po schodach na tylną werandę domu Proctorów.

Jeden ze strażników stał przy rozsuwanych szklanych drzwiach prowadzących do domu.

- Hej, znalazła ją pani. Sześć się ucieszy, że...

- Sześć może wcale nie być taki zadowolony - przerwała Lucy.

- Proszę otworzyć drzwi.

Mężczyzna ledwo zdążył się cofnąć. Wewnątrz było bardzo cicho, zupełnie jakby wkroczyły do sanktuarium.

- Czy ktoś tu, do diabła, jest?! - wrzasnęła Lucy. Jej słowa odbiły się echem od przeciwległej ściany holu. „Diabła jest” - odpowiedziało echo. Jakież drzwi w głębi domu otworzyły się i z trzaskiem zamknęły.

- Co tu się dzieje? - Mężczyzna w prawym ręku trzymał plik papierów, a za uchem miał zatknięty ołówek. - Ach, panna Proctor, jak mniemam?

Rozdygotane dziecko schowało się za plecami Lucy.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Lucy?

- Po pierwsze może pan wezwać policję, a po drugie niech pan przestanie być taki zabawny. Po trzecie, proszę się do mnie zwracać „panno Borden”!

- Widzę, że masz całą listę żądań. - Wezwij policję, ty... ty potworze!

Miły uśmiech zniknął z jego twarzy. Kiwnięciem ręki odesłał strażnika do drugiego pokoju, gdzie był schowany telefon.

- Może mi lepiej powiesz, o co chodzi. - Jego głos, choć łagodny, zawierał w sobie rozkaz. I groźbę.

- Może lepiej wezwę policję - wymamrotała, cofając się przed nim.

- Lepiej usiądź tutaj. - Wskazał na jedno z krzeseł stojących w ponurym rzędzie pod ścianą.

Przyglądał im się jeszcze przez chwilę.

- A więc co się, do diabła, stało? - spytał głosem utrzymanym na poziomie stonowanego ryku. - Wracam do domu i zastaję kompletny chaos.

- Rzucanie alkoholem w dzieci to znęcanie się nad nimi - oświadczyła odważnie Lucy.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - Podniósł się z krzesła i zrobił w ich kierunku dwa kroki.

- Nie uda się panu mnie zastraszyć - powiedziała niepewnie.

Ponownie trzasnęły drzwi na końcu korytarza.

- Ach, więc znalazłaś ją!

To była ciocia Eloise w najcieńszej z szat, z czymś na oku, co wyglądało jak mokra szmatka. Jej wysokie obcasy stuknęły po parkiecie. Kiedy podeszła bliżej, Lucy zmieniła zdanie. To nie była szmatka, tylko woreczek z lodem.

- Właśnie przyszły - powiedział Jim Proctor. - Powinnaś była zostać w łazience, Eloise. Czy z okiem trochę lepiej?

- Powinieneś wysłać tego małego potwora do szkoły z internatem - odparła ciocia Eloise, kończąc zdanie suchym szlochem.

Kiepsko zagrane, pomyślała Lucy. Jeśli to już szczyt jej możliwości w tym zakresie, to marnie z tą kobietą.

- A co ona tu robi? - Łkanie gwałtownie przybrało na sile.

Może popłynęłyby również łzy, ale woreczek z lodem praktycznie uniemożliwia płacz, pomyślała Lucy. Trochę z tym wszystkim przesadziła.

- Przyprowadziła Maude - wyjaśnił Jim Proctor. W jego niskim głosie brzmiało współczucie dla szczupłej blondynki. Wyciągnął w jej kierunku ramię, a Eloise wsunęła się pod nie, skwapliwie korzystając ze schronienia.

- Oko mi puchnie - poskarżyła się. - A dziś wieczorem jest kolacja u Cartwrightów. Musisz coś zrobić, James.

- Za chwilę - warknął niecierpliwie. - Usiądź tu, Eloise. Zaraz zadzwonię po doktora. Na pewno będzie mógł ci pomóc.

- Życzę szczęścia - mruknęła Lucy, którą niewymowna słodycz tej scenki miłosnej zaczynała już przyprawiać o mdłości. - Doktorzy nie składają wizyt domowych z powodu podbitych oczu. Potrzeba czegoś więcej.

- Nie mam ochoty słuchać jej dłużej - jęknęła Eloise, ponownie kryjąc się w cieniu ramienia Jima. - Odeślij ją.

- Ee... panno Borden, dziękuję za przyprowadzenie córki. Chciałbym omówić z panią to wszystko... może troszkę później. Teraz moja narzeczona, moja córka i ja musimy odbyć małą rodzinną rozmowę. Czy miałyby pani coś przeciwko temu?

- Miałabym, i to bardzo. - Lucy tupnęła swoją małą stopą. - Nie zamierzam stąd wyjść, dopóki to wszystko się nie wyjaśni.

- Coś podobnego! - oburzyła się Eloise. - A kim ty właściwie jesteś?

- Wścibską sąsiadką, która pozostanie tu dopóty, dopóki sytuacja się nie wyjaśni albo nie przybędzie policja. - Lucy podniosła się i obciągnęła sukienkę.

- Proszę - pisnęła Maude. - Nie chcę, żeby on się wściekł. Ja nie...

- Głowa do góry - zakomenderowała Lucy. - Z tyranami trzeba walczyć ich własną bronią. Trzymaj się.

- Tak, jasne - jęknęło dziecko.

Lucy widząc, że traci poparcie, przyspieszyła atak.

- Panie Proctor, dlaczego rozlał pan alkohol na plecy tego dziecka?

- Do oka też mi się trochę dostało - włączyła się Maude. - Strasznie boli!

- Rozlewać alkohol na moje dziecko? - Mężczyzna osłupiał.

- Rzucać czymkolwiek w moje dziecko?

- W pańskie dziecko - udało się jej wtrącić. - Znęcanie się nad dzieckiem. Poważne przestępstwo federalne.

- O czym ty, do cholery, gadasz? - zagrzemiał.

- Zalanie alkoholem całych pleców dziecka - wrzasnęła. - A także oka - dodała szybko. - Przestraszenie małej niemalże na śmierć. I co pan na to, panie Proctor?

- O, nie - jęknęła Maude. - Tylko nie mój tata, błagam, tylko nie on!

- Nie mieszaj się w to - rzekła Lucy. - Ja wszystko załatwię.

- Doskonała wymówka - powiedział Jim Proctor głosem przypominającym grzmot burzy. - Ale to się nie uda. Chcę wiedzieć, co się stało z okiem Eloise, Maude?

Dziewczynka rozejrzała się wokół, patrząc im w oczy, po czym westchnęła.

- Uderzyłam ją - oświadczyła.

- Widzisz? - wtrąciła Eloise z podnieceniem. - Widzisz? Nawet się bezczelnie przyznaje!

- Chwileczkę. - Proctor podniósł dłoń, nakazując ciszę. - Coś tutaj nie gra.

Maude uniosła małą bródkę. Lucy przelknęła ślinę. Eloise uciszyła się. Mężczyzna przyklęknął przed córką na jedno kolano.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie. - Dlaczego ją uderzyłeś?

Dziewczynka zawahała się i zerknęła na Lucy.

- Bo nie chciałam jeść tego wstrętnego lunchu - jęknęła w końcu - i ona rzuciła we mnie całą szklanekę tego czegoś, co pije, i trochę wpadło mi do oka, i nie mogłam tego wytrzeć, a ona wzięła następną szklanekę, więc ja uciekłam.

No proszę, pomyślała Lucy. Dobry atak, zły cel. Ach, ten mój niewyparzony język.

- Trudno uwierzyć, że twoja ciotka była do czegoś takiego zdolna - powiedział Proctor wciąż aksamitnie łagodnym głosem.

Lucy szybko podeszła z tyłu do Maude. Zdjęła z jej ramion ręcznik, po czym rzuciła na podłogę zaplamioną bluzkę. Dziecko zadrżało ze strachu.

- Odwróć się - poprosiła.

Maude usłuchała, a Proctor dotknąwszy jej jednym palcem, podniósł go do nosa i wachając wciągnął powietrze.

- Brandy - prychnął.

- Może trudno w to uwierzyć - powiedziała Lucy - ale ktoś oblał ją straszliwą ilością tego świństwa. Proszę zobaczyć, jakie ma czerwone oko. Trzeba to wypłukać!

- Doktor przyszedł - oznajmił jeden ze strażników, pojawiawszy się w drzwiach prowadzących do salonu.

Chwilę później zjawił się doktor Walters, machając swoją wiekową torbą. Pod osiemdziesiątkę, przygarbiony, siwy, dawno już zamknął swoją praktykę, lecz jeszcze od czasu do czasu chodził na wizyty domowe. Podeszedł prosto do dziewczynki i obrócił ją ku sobie.

- Paskudne - mruknął. - Trochę lodu na oko, żeby powstrzymać opuchliznę. Wypłukać wodą. Tabletki w razie infekcji. Jeśli to był wypadek, ktoś powinien być dużo ostrożniejszy. Jeśli nie, muszę to zgłosić policji.

- To był wypadek, doktorze. - Proctor podniósł się. - Dopilnuję, żeby to się więcej nie powtórzyło. Dziękuję, że pan przyszedł.

- Ale... czy on nie obejrzy mojego oka? - spytała Eloise.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Żegnaj, Eloise - powiedział lodowato. - "Ale... ale przecież mieliśmy się wkrótce pobrać!

- Żegnaj, Eloise. Nigdy do tej pory nie uderzyłem kobiety. Nie dostarczaj mi powodów do złamania mojej zasady.

- Dziewczynka - przypomniał doktor. - Proszę położyć ją do łóżka, podać środek przeciwwzapalny, coś na sen i czuwać przy niej do rana.

- Niech was wszystkich szlag trafi! - wrzasnęła Eloise. - Banda idiotów! I tak nic by z tego nie wyszło, ale te pieniądze...

- Żegnaj, Eloise.

Dał znak jednemu ze swoich ludzi, który podszedł, niezbyt delikatnie chwycił wrzeszczącą Eloise za ramię i wyprowadził z salonu.

- Zajmę się Maude. - Lucy wzięła dziewczynkę za rękę i ruszyły razem wzdłuż holu. Jim Proctor skinął na strażnika, żeby im towarzyszył.

- Już nie boli tak bardzo po tej tabletkie - powiedziała sennie Maude.

Leżała wyciągnięta na ogromnym łóżku z baldachimem w swoim pokoju.

- To dobrze. Pamiętaj, nie trzymaj oka. Właśnie dlatego masz ten mały opatrunek.

- Bardzo się cieszę, że tu byłeś, Lucy. Okropnie się bałam. Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu widziałam tatę takiego wściekłego. Byłeś bardzo odważna, że rozmawiałaś z nim w ten sposób!

- Jeśli przyrzekniesz, że nikomu nie powiesz - odparła Lucy - wyjawię ci sekret. Byłam tak przerażona, że nie mogłam się ruszyć. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. - Zakręciła buteleczkę z lekarstwem, które zostawił doktor. - Jesteś głodna?

Odpowiedziała jej tylko cisza. Dziewczynka zasnęła.

- I dzięki ci za to, Panie Boże - wyszeptała Lucy.

Jim Proctor ostrożnie wślizgnął się do pokoju.

- Śpi - poinformowała go Lucy. - Wiem. Muszę z tobą porozmawiać.

- Chciałabym cię przeprosić - przerwała. - Myślałam... sama nie wiem, dlaczego myślałam, że ty to zrobiłeś.

- Wielkie dzięki - mruknął, przysuwając krzesło do jej fotela.

Ledwie go widziała. W świetle nocnej lampki wydawał się jakimś mrocznym cieniem. Dostrzegła jednak przygnębiony wyraz jego twarzy i bruzdy biegnące po obu stronach nosa.

- Próbowałem ją chronić - odezwał się miękko.

- Naprawdę się starałem.

- Wiem. - Mimo woli przeniosła dłoń na oparcie jego krzesła i pogłaskała go po rękę.

- Jej matka to było chodzące nieszczęście - mruknął. - Myślałem... do diabła, myślałem, że potrafię sobie poradzić i zobacz, jak się myliłem. To był naprawdę szczęśliwy traf z tym popłochem.

- Popłoch? Jaki popłoch? - Lucy nie potrafiła stłumić okrzyku zdziwienia.

- W lecie zeszłego roku - odparł głucho. - Interesy w banku szły coraz gorzej. Kiedy mój brat załamał się nerwowo, musiałem przyjechać i postarać się przywrócić bank do dawnego stanu.

- To znaczy... że nie zawsze byłeś bankierem?

- Ja? Nigdy w życiu. - Nawet w panującym półmroku dostrzegła jego zęby błyszczące w szerokim uśmiechu. - To zawsze był rodzinny bank, ale najpierw kierował nim mój ojciec, a potem w jego ślady poszedł starszy brat. Ja natomiast prowadziłem niespokojny żywot, włączając w to służbę w marynarce, trochę zawodowego latania i tym podobnych rzeczy. A moja żona... Kiedy zorientowała się, że dobre czasy były za nami - zarabiałem dwa razy więcej pieniędzy, przeprowadzając loty próbne, niż teraz, w banku - spakowała torbę i odjechała w środku zimy, kierując się na północ, przy czym śniegu było mnóstwo.

Zjechała z mostu na rzece Penobscot. Raport szeryfa stwierdzał, że poziom alkoholu w jej krwi dwukrotnie przekraczał dopuszczalną granicę.

- A Maude? Czy została ranna?

- Maude? Moja żona nigdy nie poświęciła jej nawet jednej myśli. Zostawiła ją zupełnie samą w naszym domu w Newton i poszła w siną dal.

- A co z Maude?

- Och, jak zwykle przyszedłem do domu późno. - Lucy wyczuła w jego głosie sarkazm. - Kochany tatuś zajechał przed dom około dziesiątej w nocy i znalazł Maude i jej małego misia trzęsących się w kącie szafy. Od tamtej pory boi się ciemności! Nie pozwolę, aby to się kiedykolwiek powtórzyło, Lucastro Borden. Niezależnie od tego, jaką cenę mi przyjdzie za to zapłacić! Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Eloise... Mój Boże, zawsze traktowała mnie i Maude niczym parę królewską. No i popatrz. Nie jestem dobrym ekspertem, jeśli chodzi o kobiety, Lucy.

- Przestań o tym myśleć. - Ku swemu zdziwieniu, dziewczyna uświadomiła sobie, że jej ręka wciąż spoczywa na jego dłoni. - To nie była twoja wina.

- Muszę o tym myśleć - mruknął. - Mój plan jest dobry, tylko wybrałem niewłaściwą kobietę. A pod koniec miesiąca muszę wyjechać do Waszyngtonu. Te cholerne kredyty hipoteczne wpędziły nas wszystkich w kłopoty. - Zatrząsał się, przypominając ogromnego psa otrzepującego się po deszczu. - No i co o tym myślisz?

- Nie pamiętam - westchnęła. - Czy mógłbyś... Ogromny cień pochylił się ku niej. Zamarła w swoim fotelu.

- Przecież ci mówiłem. Chcę chronić Maude, a przeżywamy kryzys w bankowości i muszę jechać na spotkanie w Departamencie Skarbu. Myślałem, że wszystko się ułoży. Ożenię się z Eloise i ona roztoczy opiekę nad Maude i, kto wie, może powiększyłaby się rodzina?

Lucy cofnęła dłoń, ale on ją przytrzymał.

- Ale nie - kontynuował. - To mogłoby się udać tylko wtedy, gdyby Eloise była taką miłą kobietą jak ty. Zamiast tego o mały włos nie ożeniłem się z następną wariatką... Tak.

- Ja...

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. - Wstał i pociągnął ją za sobą. - Żadnych, Lucastro Borden. W kościele załatwione, kwiaty zamówione, goście zaproszeni. Wszystko przygotowane. W przyszły wtorek o jedenastej rano w Kościele Kongregacjonistów. Wiesz, gdzie to jest?

- O czymś zapomniałeś. Co to ma wspólnego ze mną?

Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Jak to, ty jesteś odpowiedzialna za ten cały bałagan, więc w przyszły wtorek wyjdiesz za mnie i zaopiekujesz się Maude. Muszę się wziąć do roboty, trzeba jeszcze załatwić mnóstwo spraw.

O, tak, z pewnością, pomyślała Lucy i skrzyżowała ręce na piersiach, patrzyła, jak mężczyzna znika w drugim końcu holu. Mam wyjść za ciebie w przyszły wtorek? To będzie bardzo zimny letni poranek, panie Proctor.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Halo, proszę pani!

Lucy zatrzymała się. To był Henderson.

- A, dzień dobry. Wszystko w porządku?

- Niezupełnie, proszę pani. Zdaje się, że mamy kolejny problem, który wymaga...

- Więcej pieniędzy?

- Ano tak. Termyty. Pod tylną werandą. Poza tym trzeba ją obniżyć, jeśli naprawę chce pani zrobić podjazd dla wózka starszej pani. To będzie kosztowało gdzieś... następne cztery tysiące?

Lucy stała na piasku z rękoma na biodrach, gryząc dolną wargę. Jeszcze dwa tygodnie temu zemdlałaby na samą myśl o takiej sumie. A teraz... następne cztery tysiące. Nie jest dobrze, ale znajdzie się wyjście. Może, pomyślała, nie powinnam była sobie kupować tego nowego kostiumu kąpielowego? Pięćdziesiąt pięć dolarów za coś do pływania? Wyglądał jednak świetnie i poprawił jej samopoczucie o tysiąc procent.

Odwróciła się i spojrzała w górę na jego dom pogrążony w promieniach porannego słońca. Miałabym go poślubić? Za jaką idiotkę on mnie uważa? Pożyczę trochę więcej pieniędzy z jego banku. Może w ten sposób przekona się, że żony bywają kosztowne!

Zawróciła do domu i zadzwoniła do swojego ulubionego pracownika banku.

- Więcej pieniędzy? - spytała Angie, kiedy spotkały się w kuchni, aby napić się herbaty.

- Tak - odparła Lucy wzdychając. - W banku nie wydają się zaniepokojeni. Tak przynajmniej twierdzi człowiek odpowiedzialny za udzielanie kredytów. A przy okazji, pytał o ciebie. Słyszał, że byłaś w kiepskiej formie i bardzo się tym przejął.

- Jakie to miłe - rzekła Angie. - I dziwne. W ogóle go nie znam. Czyżby wśród młodego pokolenia znajdowało się parę kulturalnych osób?

- Jeśli tak, to ja na nie nie trafiłam - odparła Lucy i zmieniła temat. - Jeżeli mi wystarczy odwagi, pożyczę wszystkie pieniądze, jakie ma w tym swoim głupim banku, a kiedy przyjdzie do spłaty, roześmieję mu się w twarz.

Oparła łokcie na stole, a bladoniebieskie oczy Angie Moore zmierzyły ją od stóp do głów.

- Dużo myślisz o panu Proctorze, nieprawdaż, dziewczyno? O co chodzi? Czyżby przypominał ci Marka?

- Dobry Boże, nie. - Ręka Lucy mimowolnie powędrowała do płonącego ogniem policzka. - Mark był wyższy i szczuplejszy... i lepiej wychowany. Był dżentelmenem w każdym calu.

- A Jimbo?

- Ogromny, szeroki w ramionach... i czasami brutalny.

- Jim to lew. Nie boisz się go drażnić? Czy ty się przypadkiem sama nie prosisz o kłopoty?

- Oczywiście, że tak. I nie wiem, co począć. Wciąż się upiera, że mnie poślubi. Co można zrobić z takim mężczyzną? Mówiłam mu trzy razy, że nigdy do tego nie dojdzie, ale on się tylko śmieje. Jeszcze mu pokażę! Dzisiaj rusza moja szkółka pływacka. Czternaście dziewcząt, no i oczywiście Maude.

- Czy on o tym wie?

- O czym? O szkółce? Nie, myślę, że nie, ale w końcu to nie jego sprawa.

- Jeśli już o to chodzi, to trochę tak - odparła Angie. - Robisz remont za jego pieniądze, a on o tym nie wie.

- Pożyczone pieniądze nie mają właściciela - upierała się Lucy. - Pożyczone, i to legalnie! Czy nie sądzisz, że ten kostium jest może zbyt...?

- Ani trochę. - Angie uśmiechnęła się. - Gdybym była o czterdzieści lat młodsza, sama bym taki nosiła. O, już idą.

Lucy westchnęła. Wyszła na werandę, żeby powitać swoją pierwszą grupę uczennic, przedstawić się i ustalić reguły. Żadne z rodziców nie pofatygowało się, żeby obejrzeć jej plażę. Dwie dziewczynki zostały nawet przywiezione przez szoferów. Rodzice znaleźli przechowalnię dla swoich ukochanych córeczek. Około wpół do dziesiątej wszyscy byli już w wodzie. Lucy podzieliła dziewczynki na mniejsze grupy według ich umiejętności i wzięła się do pracy.

Ranek minął bardzo szybko. Około wpół do dwunastej większość dziewczynek leżała już wyciągnięta na plaży, nie mogąc złapać oddechu. Nowa łazienka nie była jeszcze gotowa i Lucy odesłała je do domu pokryte solą. Wszędzie rozbrzmiewały ich głosy. Właściwie huczało w całym sąsiedztwie. Dla uszu Lucy była to jednakże słodka muzyka. Machała na do widzenia ostatniemu dziecku, a jednocześnie jej umysł pracował na wysokich obrotach.

- Piętnaście dolarów od każdej - oznajmiła z uniesieniem.

- Dwieście dziesięć dolarów tygodniowo za całość - odparła kochana staruszka, która radziła sobie z rachunkami dużo lepiej niż przeciętne kobiety.

- Ojej! Chyba pójde i wydam trochę!

- Lepiej poczekaj, dopóki się nie dowiesz, ile wyniesie spłata kredytu - poradziła Angie.

- Spłata? Ledwo co go dostałam, a już spłata?

- Tak to właśnie wygląda, kochanie.

Rozczarowana dziewczyna poszła na górę wziąć prysznic i przebrać się w coś praktyczniejszego. Maude siedziała już w łazience i śpiewała na całe gardło.

- Zostaw mi trochę ciepłej wody! - krzyknęła Lucy.

Pluskanie ustało i przez uchylone drzwi wysunęła się głowa dziewczynki.

- Nie ma ciepłej wody - oświadczyła. - Pan Henderson powiedział, że.!

- Lepiej sama z nim porozmawiam.

Zeszła na dół. Na podwórku panowała cisza i spokój. Pan Henderson siedział na werandzie i jadł kanapkę. Zamierzał wstać na jej widok, ale machnęła ręką, by tego nie robił i usiadła obok.

- Ciepła woda - zasygnalizowała temat. - Wymontowaliśmy stary zbiornik. Za parę dni założymy nowy. Największy, jaki udało mi się znaleźć. A teraz niech mi pani wybaczy, ale muszę wracać do pracy.

- Ja też - odparła Lucy i udała się na poszukiwanie grabi do piachu. Jej szkółka zdołała w jeden poranek zgromadzić stertę śmieci.

Około drugiej po południu Maude wyszła z domu.

- Nie uwierzycie mi - przepraszała - ale zasnęłam. Już nie pamiętam, kiedy byłam tak zmęczona.

- Nie przejmuj się. - Roześmiana Lucy wręczyła dziecku małe grabki.

Maude ochoczo zabrała się do pracy.

Około czwartej pojawił się Jim Proctor ubrany w wytarte szorty i powyciągany podkoszulek ze znaczkiem Harvard Rowing, który wyglądał tak, jakby poszedł na dno razem z Titanicem, a potem cudem został wyłowiony.

- Ciężka praca? - spytał.

- Ależ skąd! - Lucy wyprostowała się i jęknęła. - We współczesnym społeczeństwie to mężczyźni wykonują całą ciężką pracę.

- Sama w to nie wierzysz! - wykrzyknęła Maude.

- Ale twój tatuś wierzy.

- Chwileczkę - zaprotestował. - Sam potrafię za siebie mówić. Tak przy okazji, bardzo zgrabny kostium. Jak rozumiem, odeszłaś już od stylu bikini.

- Owszem - zripostowała Lucy. - Nie znoszę obnoszenia się na pokaz.

- Więc po co to sprzątanie plaży?

- Ponieważ mamy szkółkę pływacką - wybuchnęła Maude.

- Szkółkę pływacką?

- Tak - potwierdziła Lucy. - Zgromadziłyśmy parę uczennic i prowadzimy lekcje.

- Mam nadzieję, że nie bierzesz za to pieniędzy... Nie, nie byłabyś aż taka głupia!

Dziewczyna poczuła, jak po plecach przechodzą jej ciarki. Czyżby coś przeoczyła? Zacisnąwszy pięści, potrząsnęła głową.

- Czy jest coś złego w pobieraniu pieniędzy za usługi? - spytała, z trudnością utrzymując swobodny ton głosu.

- Zazwyczaj nie, ale to jest dzielnica mieszkaniowa. Nikt nie może prowadzić tutaj działalności gospodarczej, chyba że uzyska zezwolenie rady miejskiej.

- Jakie to głupie - wtrąciła Maude. - Nie można prowadzić szkoły pływackiej z daleka od oceanu. Szkołka musi być tam, gdzie jest woda. Co się stało, Lucy? Jesteś taka... błada.

- Nie najlepiej się czuję.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu.

- Ona bardzo ciężko pracuje - powiedziała Maude do ojca.

- Tak, widzę. - Wziął dziecko za rękę i ruszyli w stronę domu.

Lucy, minawszy wózek Angie, pobiegła prosto do łazienki i nie wychodziła z niej przez kwadrans.

- Coś zjadłaś? - spytała starsza pani z troską.

- Nie, coś usłyszałam - odparła Lucy. - On powiedział... O Boże, nie chcę nawet o tym myśleć. Co powiesz na kurczaka na obiad?

Obiad okazał się prawdziwą klęską. Nie dlatego, że kurczak był źle przyrządzony, ani też dlatego, że niespeł'alnie smakował. To z jej żołądkiem działało się coś niedobrego. Jednakże Angie Moore, jeśli nie chwycił jej właśnie jeden z ataków, była bardzo wesołą towarzyszką. Kiedy staruszka poszła spać, Lucy przebrała się w prostą sukienkę letnią i wyszła, by pospacerować po plaży ze swoimi problemami.

Była senna, pogodna noc. Księżyc właśnie pojawił się po wschodniej stronie nieba. Morskie ptaki odpoczywały w swoich

nocnych kryjówek, a przybrzeżne fale nieco opadły. Lucy wróciła do ogromnego kamienia, stanowiącego granicę pomiędzy jej plażą a posiadłością Tego Mężczyzny i oparła się o skałę. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Nagle poczuła czyjaś obecność, a po chwili zapach wody po goleniu i coś bardzo trudnego do zdefiniowania; woń męskości. Coś ciepłego opadło jej na ramiona. Odwróciła się powoli i wtedy poczuła, jak obejmuje ją ramię - ciepłe, silne, dające poczucie bezpieczeństwa i podnoszące na duchu. Rozkoszny dreszczyk przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, a ramię zacisnęło się mocniej.

- Lucastra?

- Przecież wiesz, że tak - westchnęła. - W promieniu kilometra nie ma żadnej innej dziewczyny. Jim?

- Oczywiście. Któż inny przytulałby cię na plaży o tej porze? - Poruszyła się lekko, a wtedy ramię zacisnęło się ponownie. - Nie czas teraz na ucieczkę. Odpręż się.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Nie potrafiła oprzeć się dziwnej atmosferze tej nocy. Posłuchała więc.

Nastąpiła zdająca się trwać w nieskończoność cisza. Daleko na wodach zatoki migały światełka łodzi. Światła miasta rzucały blask po prawej stronie. Jim patrzył na gwiazdy. Spojrzenie Lucy powędrowało za jego wzrokiem. Wypatrując gwiazdozbiorów, oparła głowę na jego ramieniu.

- Prawdziwe piękno - zabrzmiał niski, głęboki głos, pieszcząc oddechem jej włosy.

- Tak, zawsze są piękne.

Poczuła silniejszy uścisk jego ramienia.

- Miałem na myśli ciebie, panno Lucastro, nie gwiazdy.

Zaskoczył ją ten komplement, a jednocześnie sprawił, że poczuła się trochę nieswojo. Poruszyła się niespokojnie, lecz nie zdołała umknąć spod jego ramienia.

- Czy nikt ci przedtem nie mówił, że jesteś piękna?

- Od śmierci mojej babci nikt. Zapadło milczenie.

- Czy byłaś kiedyś zakochana?

- Ostatnio nie. - Roześmiała się cicho. - Byłam zakochana w Harrym Tillmanie, ale to nie przetrwało.

- Harry Tillman? - W jego głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.
- Czy on mieszka tu w okolicy?

- Och, na miłość boską! Chodziliśmy razem do szóstej klasy. Nie widziałam Harry'ego od... nie pamiętam, całe lata temu.

- W takim razie wszystko w porządku. - Uniósł jej brodę ku górze i złożył na czole pocałunek, delikatne, ciepłe muśnięcie warg. - Po prostu nie znoszę konkurencji.

- Konkurencji? Nie rozumiem.

- Nie szkodzi. Niech tak zostanie. - Puściwszy ramię, zatopił dłoń w jej włosach, rozwiewanych przez wzmagający się wiatr od łądu.

- A ty? Czy ty byłeś kiedyś zakochany?

Co za głupie pytanie, pomyślała ze złością. Właśnie teraz, kiedy wszystko układa się tak miło, musiałaś pofolgować temu niewyparzonemu językowi! Był żonaty. Ma dziecko. Cóż mógłby odpowiedzieć?

- Kiedyś wydawało mi się, że tak - odparł cichym, ledwie słyszalnym głosem. - Ale teraz myślę, że nie. To była okropna pomyłka ze strony nas obydwójga. Ona pragnęła zupełnie innego rodzaju życia niż ja. Czuję się winny przyznając, że kiedy było już po wszystkim, poczułem ulgę.

- Przepraszam za mieszanie się do nie swoich spraw. - Lucy otrząsnęła się i wstała. - Jest późno, a moje uczennice przyjdą jutro wcześniej i...

Cokolwiek miała zamiar powiedzieć, zupełnie wyleciało jej z głowy. Odwrócił ją ku sobie i poczuła jego wargi na swoich. Wciąż delikatne, kuszące. Co teraz robić? Po prostu stać i poddać się temu, czy...? W tym momencie przepadła możliwość wyboru. Jego ramiona zacisnęły się nieco mocniej, usta przywarły gwałtowniej, a zaskoczona tą nagłą namiętnością Lucy zupełnie straciła panowanie nad sobą i odpłynęła do tajemniczej krainy, w której ludzie łączą się w jedno, gdzie

wzburzone uczucia w szaleńczy sposób zawładają człowiekiem. Odplynęła tam, gdzie płonęło niebo!

Odsunął się od niej. Usłyszała jego ciężki oddech.

- Co to, do diabła, było?

Zdołała oderwać od niego wzrok. Niebo naprawdę zapłonęło. Ktoś po drugiej stronie zatoki wystrzelił białą raketę.

- Rakietą - odparła. - Oddziały straży przybrzeżnej przeprowadzają nocne ćwiczenia.

- Mam ochotę ich zabić - mruknął.

Ja również, pomyślała Lucy. Gdzie my jesteśmy? Co się stało? Nikt mi nigdy nie powiedział, że całowanie mężczyzny może stanowić zagrożenie dla mojego zdrowia.

- Drżysz.

- Tak... - wyjąkała. - Robi się chłodno. Chyba już lepiej pójdę. Muszę jeszcze przygotować tyle rzeczy na jutro. Dobranoc. - Szybko wymknęła się z jego objęć i pobiegła w stronę domu.

- Lucy! - zawołał cicho, bojąc się obudzić sąsiadów. Zignorowała go, wpadła do domu i pobiegła na górę. Resztę nocy spędziła wiercąc się i kręcąc w swoim nagle nie tak już niewinnym łóżku.

Piątego dnia szkółki pływackiej słońce kryło się za chmurami, jednak ani uczennice, ani nauczycielka nie przejmowały się tym zbytnio. Dziewczęta zajęte były różnymi wyścigami, kiedy pod dom podjechał wóz policyjny.

- Lucy! - krzyknęła pani Moore. - Jest tutaj policjant, który chciałby...

Wysoki mężczyzna w mundurze, kierując się w stronę, skąd dobiegały głosy, okrążył dom i zszedł na plażę. Lucy wydała polecenia najstarszym uczennicom, które czasem ją zastępowały i wyszła z wody.

- Chciał się pan ze mną widzieć?

- Ee... tak. To znaczy, jeśli to pani jest właścicielką tej posesji.

- Tak, na razie jeszcze jestem.

- Na razie?

- Część domu jest w posiadaniu banku i jeśli go przejmą, wtedy... a zresztą nieważne. Obecnie to ja jestem właścicielką.

- I prowadzi pani prywatną szkołę? - Miał przygotowaną listę z pytaniami, na której odhaczał każdą odpowiedź Lucy.

- Dwa razy tak.

- Słucham?

- To znaczy tak, to jest prywatna szkoła i tak, ja ją prowadzę, ale nie, nie może pan się przyłączyć, ponieważ jest tylko dla dziewcząt.

- Ee... rozumiem. - Na jego liście z pewnością nie było miejsca na taką odpowiedź, lecz mimo to spojrzął, by się upewnić. - Nie, nie miałem zamiaru dołączyć do pani szkoły. - Wysunął koniuszek języka, ponownie zerkając na listę. - Czy ta szkoła przynosi pani korzyści finansowe?

- Trudno powiedzieć. - Lucy smętnie pokiwała głową. - Tak miało być w założeniu, ale jeszcze korzyści nie przynosi i obawiam się, że nie przyniesie do końca sezonu.

- Czy bierze pani pieniądze od dziewcząt za to, że przychodzą tu pływać?

- Istotnie, biorę, ale za mało.

Przez chwilę coś innego przykuło jej uwagę. Maude wyszła z wody, żeby posłuchać, o co chodzi, a teraz krzyczała do kogoś w swoim domu.

- Czy posiada pani zezwolenie na prowadzenie tutaj tego typu działalności?

- Zezwolenie? Proszę nie zwracać się do mnie per pani. Nie jestem jeszcze taka stara. Mam na imię Lucy. Lucy Borden.

- Wiem, jak się pani nazywa.

Młody policjant był już zupełnie zdezorientowany. Być może miało to coś wspólnego z nowym kostiumem kąpielowym Lucy, trykotem obcisłym niczym skóra. Głęboki dekolt przedstawiał widok bardzo atrakcyjny dla mężczyzny w jego wieku. Każdy jej oddech robił na nim ogromne wrażenie.

- Wiem, jak się pani nazywa - powtórzył. - Chodziła pani do szkoły z moim bratem.

- Naprawdę? A kto jest...?

- Proszę posłuchać, nie przyszedłem po to, żeby się dać wyprowadzić w pole. Czy posiada pani zezwolenie od Rady Miejskiej na prowadzenie tej szkoły w dzielnicy mieszkaniowej? Mamy skargę.

- Ratunku - szepnęła cicho, lecz niestety w sąsiedztwie nie było anioła stróża. - Więc co to wszystko oznacza?

- Daję pani upomnienie - odparł policjant. - Łamie pani przepisy miejskie dotyczące podziału miasta na strefy. Musi pani zamknąć szkołę. Gdyby chciała się pani odwoływać, może pani wystąpić do Rady Miejskiej o udzielenie zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej.

- Czy... czy sądzi pan, że mogłabym prowadzić moją szkołę, dopóki Rada Miejska się nie zbierze? Domyślam się, że zajmie to sporo czasu, zanim... no wie pan?

Policjant potrząsnął głową. Uśmiechnięty, wesoły, lecz stanowczo dający jej negatywną odpowiedź. Spojrzała na niego.

- Czy nie mogłabym chociaż zakończyć, dzisiejszego dnia nauki? Została tylko godzina i...

I może powróci mi zdrowy rozsądek, pomyślała.

- Nie widzę w tym nic złego - odparł. - Będę przechodził tędy około drugiej i radziłbym, żeby do tego czasu zamknęła pani szkółkę.

- Tak, tak, naturalnie. - Dziękuję - rzuciła ponuro.

Pokiwał głową i uśmiechnął się. Być może ciągnąłby jeszcze tę rozmowę, ale najwyraźniej coś działo się za jej plecami. Podniósł rękę do daszka czapki i czekał cierpliwie.

- Mamy jakieś kłopoty? - odezwał się z tyłu niski, rozbawiony głos.

Odwróciła się. Jim Proctor. W tak zenującym momencie!

Podszedł bliżej, co ustawione wokół nich w półkole dziewczęta skwitowały głośnym „000!”. Lucy zarumieniła się.

- Nazywam się Proctor. Jestem bankierem. O co oskarża pan moją narzeczoną?

- Otrzymaliśmy skargę, że pańska narzeczoną prowadzi niedozwoloną działalność w dzielnicy uznanej za mieszkaniową.

- A kto złożył taką idiotyczną skargę? - spytał Proctor. - Ta stara dewotka z naprzeciwka?

Dewotka z naprzeciwka? Lucy wychyliła się, żeby spojrzeć na swój dom. Po drugiej stronie ulicy istotnie stał stary budynek, ale tak daleko, że ledwie mogła dojrzeć kominy.

- Pani Chase - potwierdził policjant. - Hałas, dziewczęta biegające półnago. Kiedy weszła na drabinę, żeby przez okno mansardowe zobaczyć, co się dzieje, poślizgnęła się i twierdzi, że zwicnęła nogę w kostce. Chce wystąpić o odszkodowanie.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się porozumiewawczo.

- Ale, oczywiście, panie Proctor, istnieje również problem prawny. Bardzo skrupulatnie przestrzegamy przepisów dotyczących podziału miasta na strefy. Jeśli pańska... narzeczoną chce dalej prowadzić tę szkołę, musi uzyskać zezwolenie od Rady Miejskiej. Do tego czasu...

- Nie śpieszmy się tak - wtrącił Jim. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie jest to przynoszący dochód interes, tylko zabawy sportowe. A biorąc pod uwagę fakt, że Lucy chroni kilkanaście dziewcząt przed wpakowaniem się w jakieś kłopoty... Z pewnością rozpoznaje pan jedną czy dwie z nich?

- Tak. Trzy, jeśli chodzi o ścisłość. Bogaci ojcowie, zepsute dzieci. Nie pomyślałem o tym. Mimo to...

- Niemniej jednak prawdą jest, że panna Borden nie prowadzi działalności gospodarczej w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zgadza się?

Policjant skinął głową.

- Nie ma więc potrzeby natychmiastowego zamknięcia jej szkoły, ponieważ i tak zacznie się od razu ubiegać o zezwolenie od Rady Miejskiej. A nie chciałby pan chyba, żeby któraś z tych

piekielnic wróciła na ulicę! - Wskazał na otaczające ich dziewczyny.

- Nie, nie chciałbym - zgodził się policjant. - Ale tylko na dzień lub dwa, rozumie pan. - Schował swój mały notesik z powrotem do kieszeni, uśmiechnął się do Proctora z zadowoleniem i skierował się do wozu patrolowego.

Lucy patrzyła, jak znika za węglem domu, po czym odwróciła się do Jima.

- Co to wszystko właściwie znaczy?

- To znaczy, że od niedzieli łamiesz prawo na wszystkie możliwe sposoby. Nie dość, że nie posiadasz zezwolenia na prowadzenie prywatnej szkoły, to jeszcze nie zapłaciłaś podatku.

- I co ja teraz zrobię? Mam zaświadczenie.

- Od Rady Miejskiej?

- No, niezupełnie. Z Czerwonego Krzyża. Ale to w jakiś sposób legalizuje moją szkołę, prawda?

- Obawiam się, że będziesz ją musiała zamknąć lub nie ciągnąć z niej korzyści finansowych.

- Nie ciągnąć korzyści finansowych?

- Nie bierz pieniędzy przez dzień lub dwa. Widzę, jak wiele dobrego dają Maude twoje zajęcia, więc postaram się znaleźć poparcie u innych rodziców. Bank posiada swojego prawnika i szepnę mu parę słów, żeby coś z tym zrobił. Zgoda?

- Boże, co za świat! - Lucy westchnęła. - To nawet nie brzmi uczciwie.

- Mimo to nie chcesz stracić swojej szkoły, prawda? Parę minut temu rozmawiałem z Angie i powiedziała mi, że naprawdę potrzebujesz pieniędzy.

- W porządku, dziewczęta! - krzyknęła Lucy. - To jest szkoła, a nie klub plotkarek. Proszę do wody!

- Klasnęła w dłonie i dziewczęta, wszystkie uśmiechnięte od ucha do ucha, rzuciły się w stronę morza.

- Panna Proctor również. Sio!

- Ale ja chciałam...

- Idź, póki jeszcze możesz - przerwał jej ojciec. Maude spojrzała na niego, pokazała język i uciekła.

- A więc potrzebujesz pieniędzy, ponieważ...

- Nie sędzę, żeby to był twój...

- Słuchaj - powiedział - nie mam nic przeciwko odrobinie niezależności, ale czasami, Lucy, naprawdę wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Dlaczego akurat teraz potrzebujesz pieniędzy?

Żeby móc spłacić ten twój cholerny kredyt, o mało jej się nie wyrwało, ale nie miała odwagi tego powiedzieć.

- Nagromadziło mi się trochę długów - bąknęła nieśmiało.

- Jeśli tylko o to chodzi - odparł - trzeba było mówić od razu. Daj mi listę wierzycieli, a ja każę mojej sekretarce ich pospłacać. W ramach prezentu ślubnego.

- Ty po prostu nie słuchasz! Nie wyjdę za ciebie za męża i nie możesz mnie kupić, więc nie będzie żadnych prezentów ślubnych ani... Och, doprowadzasz mnie do szału!

- Taki mam właśnie zamiar.

Uraczył ją swoim specjalnym uśmiechem dla miłych, małych dziewczynek. Jeśli jeszcze pogłaszczę mnie po głowie, pomyślała Lucy, to... I w tej właśnie chwili pogłaskał ją po głowie. Niestety, przy okazji posłał płatek jej ucha, a potem ponownie pocałował. Cokolwiek miała zamiar zrobić, zupełnie wyleciało jej z głowy.

Proctor cofnął się o krok i z zachwytem spoglądał na dziewczynę. Lucy stała zupełnie oszołomiona.

- No, dobrze - rzekł obłudnie. - Wystarczy na dzisiaj.

- O czym ty mówisz?! - krzyknęła, kiedy się odwrócił i ruszył w górę plaży.

- Nie zapomnij! zawołał. - Za pięć dni ślub! Miała ochotę pobiec za nim, przewrócić go na piach i... Jej wyobraźnią zawładnęła zupełnie nieoczekiwana myśl. Odsunęła ją od siebie, choć nie było to łatwe, i zawróciła plażą.

Do diabła z tym mężczyzną!

Dopiero gdy rodzice zabrali dziewczęta do domów Lucy mogła wyjaśnić wszystko Angie.

- Tak więc w przyszłym tygodniu muszę zacząć spłacać kredyt - zakończyła. - To strasznie dużo pieniędzy, spłaty są co miesiąc i...

- Wiem, że to wszystko jest bardzo skomplikowane - odparła Angie, a w jej bladoniebieskich oczach zamigotały iskierki ale musi istnieć jakieś proste rozwiązanie. Przynajmniej jeśli chodzi o pierwszą spłatę.

- Proste rozwiązanie?

- Oczywiście, bardzo proste - oznajmiła Angie, sięgając po telefon. - Jego bank jest gotów pożyczyć ci więcej pieniędzy, tale?

Lucy przytaknęła z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma, a starsza pani zaczęła wykręcać numer.

- W takim razie idź do banku, moja droga, i pożycz tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na pierwsze dwie lub trzy spłaty.

Ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Abigail? Abigail Chase? Mówi Angie Moore. Słuchaj, stara wiédźmo, jak śmiałaś złożyć skargę na moją Lucy? - Staruszka puściła oko do dziewczyny, słuchając dobiegającego ze słuchawki napastliwego potoku słów.

- Cóż, nigdy nie życzyłabym ci, żebyś była narażona na sąsiedztwo ludzi prowadzących tak rozwiąły tryb życia, choć jestem jedną z nielicznych osób w okolicy, sięgających pamięcią do drugiej wojny światowej i tych zabawnych pogłosek o tobie i... jak on się nazywał? Pamiętasz?

Ze słuchawki popłynął kolejny potok słów bezlitośnie przerwany przez Angie Moore.

- Nie zapominaj, Abigail, że hipoteka twojego domu należy do mnie. Ogromna suma, nieprawdaż? Może się tak zdarzyć, moja droga, że będziesz się musiała szybko spakować i wyprowadzić. W mieście są bardzo przyjemne domy dla

starszych osób. Jeden pokój z łazienką. Z pewnością by ci się spodobało i... Ach tak? Myślę, że jeśli wycofasz swoją skargę, wszystko jakoś się ułoży. Tak, do widzenia. - Odłożyła słuchawkę na widełki i uśmiechnęła się. - Widzisz, Lucastro, masz jeszcze przyjaciół w okolicy.

- Ale pożyczać więcej pieniędzy? - Lucy przyłożyła dłonie do palących policzków. - Czy to nie jest nieuczciwe?

- Ależ skąd! - odparła Angie. - Stare prawo chrześcijańskie uważało za lichwę każdą pożyczkę o stopie procentowej wyższej niż sześć. Bankierzy zasłużyli sobie na to! Zjedz kolację, kochanie, i idź do łóżka. Jutro czeka cię ciężki dzień w banku.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka Lucy Borden obudziła się z bólem głowy. Dręczył ją okropny sen. Jim Proctor pochylał się nad jej łóżkiem z twarzą wykrzywioną potwornym grymasem.

- Pieniądze, a jeśli nie...! Nikt nie oszukuje w moim banku!

Dziewczyna usiadła i zmusiła się, żeby otworzyć oczy. W jej głowie zaświtała chaotyczna myśl. Jakim cudem Angie jest właścicielką hipoteki tego ogromnego domu po przeciwnej stronie ulicy?

- Pieniądze - wymamrotała. - Muszę zdobyć jakieś pieniądze.

Angie Moore właśnie zaczęła hałasować na dole. Lucy pomogła jej się ubrać, a potem zawiozła ją do kuchni.

- Śniadanko? - zaproponowała.

Staruszka uśmiechnęła się szeroko, z ożywieniem, którego nie okazywała przez minione dwa tygodnie.

- Jajka na szynce - zadysponowała. - I kawa.

- Angie, wiesz, że lekarz zabronił ci picia kawy.

- Bezczelny szczeniak! Co on może wiedzieć? Kawy!

- Dobrze, niech będzie kawa. - Lucy wzruszyła ramionami.

Kiedy wreszcie jedzenie znalazło się na stole, dziewczyna poczuła się trochę lepiej.

- Hipoteki - powiedziała z ustami pełnymi jajecznicy.

- Hipoteki?

- Powiedziałas tej pani przez telefon, że hipoteka jej domu należy do ciebie. A ja przez cały czas myślałam, że jesteś zrujnowana.

- Bo to prawda, dziecko. Nie mam grosza przy duszy. Posiadam za to torbę pełną papierów, które gromadziłam przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Pieniądze wydawałam, a wszystko inne po prostu wrzucałam do szafy. Przejrzyj je. Są w tej wielkiej skrzyni przy moim łóżku. Nie sądzę, żeby były wiele warte, mimo to postanowiłam zostawić je tobie.

- A ty nie chciałabyś ich przejrzeć?

- Wykluczone. Nie ma nic nudniejszego od skrzyni pełnej papierów. Osadza się na nich kurz, a to źle wpływa na moją astmę.

- Może któregoś deszczowego dnia. Dzisiaj muszę się stawić w banku punktualnie o dziewiątej.

W tym momencie do pokoju wpadła Maude w łobuzersko-promiennym nastroju.

- Będę się tobą opiekowała, Angie - oświadczyła dziewczynka. - A ty się lepiej pośpiesz, Lucy. On właśnie zgrywa Napoleona: chodzi w kółko i wydaje rozkazy jak oszalały. Nie sędzę, żeby wybierał się do banku.

Upewniwszy się, że na domowym froncie wszystko będzie w porządku, Lucy wyruszyła do banku. W lekkim, sportowym zielonym kostiumie, z włosami związanymi w koński ogon, wyglądała jak szesnastolatka. Świat skąpany był w letnim słońcu. Uszła może parę metrów, kiedy tuż za nią zatrzymał się samochód, trąbiąc głośno klaksonem. Lucy podskoczyła.

- Idziesz w moją stronę? - odezwał się Jim Pro-ctor ze zniewalającym uśmiechem, ubrany w swój urzędowy uniform bankiera.

- A w którą stronę się wybierasz? - spytała przezornie.

- Do ratusza.

- Nie, nie idę w tę stronę! - wykrzyknęła.

- A gdybym powiedział, że jadę na północ do autostrady?

- Nie, też mi nie jest po drodze, dziękuję.

- Lucy Borden, nie drocz się ze mną. - Pochylił się i otworzył drzwiczki po stronie pasażera. - Jeśli nie wybierasz się w żadnym z podanych przeze mnie kierunków, oprócz przystani nie ma w tym mieście już dokąd pójść. Przestań mnie denerwować i wsiadaj.

- Nie wsiadę i nie zmusisz mnie do tego! Chyba wreszcie zrozumiała, pomyślała. To, że jest taki wielki, nie oznacza jeszcze, że... Dlaczego on wysiada z samochodu?

- Jimie Proctor! Nie ośmielisz się... - Okrązał właśnie maskę samochodu. Cofnęła się o krok. - Nie możesz zostawić samochodu na środku ulicy!

- Nie mogę? Nie ośmielę się? I nie mogę cię zmusić? Hmm!

To „hmm” znaczyło tyle co „naprawdę?” i już po chwili Lucy wierciła się, kołysząc w jego ramionach.

- Postaw mnie na ziemi, ty potworze! - mruknęła w kołnierz jego marynarki.

- Słucham?

- Powiedziałam: postaw mnie na ziemi!

- Tak, słyszałem. Zauważyłaś, że zbiera się wokół nas tłum?

- To dlatego, że stanąłeś na samym środku ulicy i nikt nie może przejechać z żadnej strony, ty idioto!

- Och, cóż za słowa pełne miłości. Zachichotał i połaskotał ją pod żebrami.

- Nienawidzę tego! Nienawidzę! Zapamiętaj to sobie, jakkolwiek się tam nazywasz!

- Proctor - odparł cierpliwie. - Nie zniechęcaj się, Lucy, a na pewno zapamiętasz. W końcu to będzie także twoje nazwisko!

- Nigdy. Słyszysz? Nigdy. Nawet żebym miała żyć tysiąc lat, nigdy za ciebie nie wyjdę, ty, ty...! - Raz jeszcze uciszył ją pocałunkiem.

Zebrana wokół nich publiczność biła brawo i wiwatowała. Lucy, czerwona na twarzy, bezowocnie usiłowała się wyrwać.

- Spójrz tylko, co ty mi robisz - syknęła mu do ucha. - Oni wszyscy mnie znają! Wstydzę się. Puść mnie w tej chwili!

Zamiast tego chwycił ją jeszcze mocniej i wziął głęboki oddech.

- Panie i panowie - zagrzmiął, po czym zamilkł, by spotęgować efekt. - Zostałem poinformowany - ciągnął - że większość z was zna pannę Lucy Borden i może czuć się zażenowana, widząc ją całowaną publicznie.

- Przestań! - wyszeptwała, starając się schować.

- Zapewniam zatem, że jest to jak najbardziej moralne, przyzwoite i legalne. W przyszły wtorek Lucy wyświadczy mi ten zaszczyt i poślubi mnie w Kościele Kongregacjonalistów, znajdującym się trochę dalej, przy Church Street. Zapraszam wszystkich, by zaszczytili nas swoją obecnością. Napoje chłodzące będą serwowane w nieograniczonych ilościach. Powiedźcie o tym przyjaciółom!

Następny okrzyk aplauzu wybuchł wśród tłumu.

- Ty płaczesz - szepnął Jim i delikatnie stał łzę z jej policzka.
- Proszę, Lucy, nie ma potrzeby płakać. Od dzisiaj będę bronił cię przed wszystkimi.

- A kto - pociągnęła nosem - obroni mnie przed tobą?

Zapadło milczenie. Odsunął się od niej. Wzdrygnęła się i ukryła twarz w dłoniach.

- Ach tak, więc o to chodzi - odparł pośepnie. Oparł dłoń na nieskazitelny lakierze maski samochodu i patrzył na nią zmieszany. W końcu wzruszył ramionami, wsiadł do wozu, popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i odjechał bez słowa.

Lucy zjawiała się w banku dokładnie o dziewiątej. Pan Ledderman rozmawiał właśnie z jednym z pracowników. Kiedy ją dostrzegł, pośpiesznie wrócił do swojego biurka.

- Cóż za miły początek dnia - oświadczył, zapraszając ją, by usiadła obok na krześle.

Lucy obdarowała go w zamian uroczym uśmiechem. Pan Ledderman był przemiłym człowiekiem, lecz nie potrafiła powstrzymać swojej dociekliwości.

- Czy pańska narzeczona wie o tym, co pan opowiada?

- Czy wie? - Roześmiał się. - Jeszcze mnie do tego zachęca, moja droga. To zabawne, co pani powiedziała. Ja i moja narzeczona otrzymaliśmy wspólną ofertę z pewnego miasta w Arizonie. Słońce, świeże powietrze i tak dalej. A co mogę uczynić dla pani, panno Borden?

- Panie Ledderman, czy możliwa jest... jeszcze jedna mała pożyczka?

- Oczywiście, że tak. Będzie ona nawet stanowiła pewien jubileusz.

- Ach tak?

- Tak. Pracuję w banku od dwóch lat i to będzie ostatni udzielony przeze mnie kredyt. Ile pani potrzeba? Czy w dalszym ciągu obciąża pani hipotekę?

- Myślę, że tak. Jeśli taki jest przebieg procedury - odparła Lucy niepewnym głosem.

Podala mu sumę, jakiej potrzebowała. Niewielką, naturalnie. Tyle tylko, by, zgodnie z jej obliczeniami, wystarczyło na spłaty kredytu za cztery miesiące.

- To kropla w morzu - odparł Ledderman.

- A ponieważ wszyscy członkowie komitetu zatwierdzającego kredyty są tutaj obecni i nas obserwują, może od razu puścimy dokumenty w obieg?

Propozycja nie do odrzucenia, pomyślała Lucy. Złożyła podpis w trzech różnych miejscach i podążyła za Leddermanem, który przedstawił jej prośbę członkom komitetu. Każdy z nich podpisał papiery. Ledderman odprowadził dziewczynę do drzwi i pożegnał ze smutkiem. Zarzuciła mu ręce na szyję i gorąco ucałowała.

- No proszę! Przed moimi własnymi drzwiami! - Z tyłu dobiegł ich głos Jima Proctora. - I to z szefem wydziału kredytowego! Do diabła, nic dziwnego, że człowiek nie ma już szans w tym mieście!

- Byłem szefem - odparł z uśmiechem Ledderman, entuzjastycznie uściskawszy Lucy.

- Właśnie zakończyłem ostatnią transakcję, panie Proctor, i odprowadzałem pannę Lucastrę do wyjścia. Zamykam swoje rachunki i wyjeżdżam do Arizony.

- Lucastra? Do Arizony?

- Słońce, świeże powietrze - dodała Lucy.

- I ty jedziesz z nim? - Jim obrzucił ją czujnym spojrzeniem.

- Ja nie - odparła. - Pan Ledderman już ma dziewczynę. Mary Norris, pielęgniarkę.

- Ach tak, pielęgniarkę, oczywiście.

Na twarzy Jima Proctora pojawił się wyraz ogromnej ulgi. Najwyraźniej nie miał pojęcia, kim była Mary Norris, ale sam fakt jej istnienia uspokoił go.

- Do widzenia, Ledderman. Wszystkiego dobrego. - Wyciągnął rękę. - I niech się pan już zabiera do swoich rachunków.

- Tak, tak, naturalnie. A tak przy okazji, jak się miewa nasza droga pani Moore?

- Lepiej - odparła Lucy. - Zdecydowanie lepiej.

- O! To niedobrze - stwierdził urzędnik, powracając do swojego biurka.

- Co on miał na myśli? - zastanawiał się Jim.

- Nie wiem. Zawsze kiedy się spotykamy, mówi coś w tym stylu.

- Zresztą to bez znaczenia. Słuchaj, Lucy, dziś rano na ulicy wygłupiłem się trochę. Pomyślałem sobie, że może mogłabyś... ja i Maude zamierzamy popływać łodzią dziś po południu. Czy zechciałabyś się do nas przyłączyć... tak dla świeżego powietrza?

- Zrobiłabym to z przyjemnością, ale nie mogę zostawić Angie zupełnie samej.

- Przyślę kogoś, żeby spędził z nią popołudnie - zaproponował. - Co ty na to?

- Tylko wtedy, jeśli będzie to ktoś, kogo Angie lubi.

- Moja gosposia. To bardzo miła pani i wydaje mi się, że zna twoją... nie wiem, jakie pokrewieństwo łączy cię z panią Moore.

- Nie jesteśmy wcale spokrewnione. Angie była przyjaciółką mojej babci i ja zawsze podtrzymywałam tę znajomość.

Wsunął jej rękę pod swoje ramię i zaciągnął ją do gabinetu.

- Jesteś cudowna - szepnął, sadzając ją w jednym z masywnych foteli bujanych. - Wrócę za parę minut. Zaczekasz na mnie?

Po chwili dobiegł ją głos Jima Proctora, wydającego polecenia swojej sekretarce.

- Proszę odszukać Mary Norris. To pielęgniarka, z którą przyjaźni się pan Ledderman. Proszę jej posłać cztery tuziny róż. Kartka? Po prostu: „Bogu dzięki za panią”.

Zycie, pomyślała Lucy, staje się coraz bardziej ekscytujące! Czy właśnie to ludzie mają na myśli, mówiąc o miłości? Ale on jest mężczyzną tak imperty-nenckim, nie znoszącym sprzeciwu, że musi zatrzymać to dla siebie. Uważaj, jak chodzisz, Lucastro Borden!

- Co się tu, do diabła, dzieje?

Jim Proctor zwolnił, nieomalże zatrzymując cadil-laca. Przed domem Bordenów stało więcej samochodów, niż widziała tutaj przez całe tygodnie.

- Nie mam pojęcia. - Starła się, by słowa brzmiały jak najbardziej łagodnie i potulnie, co przychodziło jej z trudem. Wtem w głowie dziewczyny zaświtała myśl. - Może coś się stało Angie! - wykrzyknęła.

Zapiszczały hamulce wielkiego wozu. Lucy wyskoczyła z samochodu. Głośny hałas dobiegał z tyłu domu, a frontowe drzwi były zamknięte. Niezdarnie wydobyła klucz i otworzyła je.

Angie Moore siedziała w swoim wózku tyłem do pokoju, a jej starym ciałem od czasu do czasu wstrząsał chichot. Dziewczyna podbiegła do wózka. Starsza pani odwróciła się, zdziwiona.

- Dobrze się czujesz? - spytała Lucy z niepokojem.

- Jak nigdy przedtem - odparła Angie, wskazując na drzwi. - Nie bawiłam się tak świetnie od czasu, kiedy mój ojciec zabrał mnie na ostatnią wycieczkę parowcem po Old Fall River!

- W takim razie Maude?

- Czyni cuda - odparła Angie. - Idź i zobacz. Lucy odetchnęła głęboko, po czym wyszła na nie

wykończoną tylną werandę. Grupa ludzi tłoczyła się u stóp schodów, nie mogąc dostać się na werandę, a Maude stała przed nimi z rękoma na biodrach i wojowniczym błyskiem w oku.

- Zwariowali -- odezwała się dziewczynka na widok Lucy. - Zupełnie poszaleli.

- Owszem, zgadza się! - krzyknął potężny mężczyzna stojący na czele tłumu. - Zaplanowaliśmy już cały miesiąc wakacji, a pani zwała mi teraz moje dwie pasierbice na kark. Mam zamiar urządzić tu niezłe piekło.

- A ja żądam moich pieniędzy! - wrzasnęła stojąca za nim kobieta. - Z odszkodowaniem. Spotkamy się w sądzie, panno Borden!

Lucy podeszła do balustrady. Nagle wszystko ucichło. Silne ramię otoczyło ją w pasie, a kiedy lekko odchyliła się do tyłu, poczuła, że jej głowa opiera się na czyimś ramieniu. Oczywiście Jim Proctor. Teraz nikt mi nie może nic zrobić, pomyślała.

- Przepraszam za wszelkie niewygody, na które państwa naraziłam - zwróciła się do zebranych - ale miałam do wyboru albo zamknąć szkółkę, albo iść do więzienia!

Szmer protestu przebiegł przez tłum. A teraz, pomyślała, nadszedł czas, by użyć trochę wyobraźni. Moja babcia nazwałaby to jankeską błagą.

- Mój narzeczony zadecydował, że nie mogę iść do więzienia. Zawsze robię to, co mi każe, więc zamknęłam szkółkę.

Tłum ucichł. Jim Proctor przysunął się do niej bliżej.

- Wstrętna kłamczucha - szepnął i zaczął przemówienie.

Lucy słuchała go, ale niewiele do niej docierało.

Od wstępu do konstytucji przeszedł do hiobowych pieśni, położył szczególny nacisk na historię Nowej Anglii, po czym podsumował wszystko, wplatając zawołane ostrzeżenie, że niedobrze jest zadzierać z miejscowym bankierem. Wyglądało

na to, że rozgniewani rodzice się z nim zgodzili. Powoli zaczęli rozchodzić się do domów.

Patrzyła na to z otwartymi ze zdziwienia ustami.

Wyprostowała się i spojrzała na niego. Nagle przypomniała sobie, co Angie mówiła rano. Torba papierów. A kto lepiej pomoże jej przekopać się przez nie niż...?

- Panie Proctor. Jim - odezwała się słodko. - Zapomniałam o czymś. Nie mogę dziś z tobą popływać. Angie i ja mamy problem.

- Ja też mam problem - przerwała Maude.

- I mój jest ważniejszy. Czy wyjdiesz za mojego ojca?

- Maude!

- Tatusiu, dla mnie to najważniejsza rzecz na świecie. Czy wyjdiesz za tatusia?

- Ja... jeszcze tego wszystkiego nie przemyślałam

- bąknęła Lucy. - To bardzo poważny krok i w ogóle, a twój ojciec...

- Nie jest najśłodszym mężczyzną na świecie - wtrącił Jim. - Pozwól Lucy samej podjąć decyzję. Przecież nie chcielibyśmy, żeby wyszła za mnie tylko dlatego, że ją do tego nakłoniliśmy, prawda?

- Pewnie, że chcielibyśmy - mruknęła Maude.

- Jakimkolwiek sposobem. Ty nie masz tak ogromnego problemu. Możesz się prowadzić z różnymi kobietami, ale ja potrzebuję matki!

- Czy to znaczy, że on się prowadzi z różnymi kobietami? - zainteresowała się dziewczyna.

- Przyjrzyjmy się wpieryw twojemu poprzedniemu problemowi. Lucy - pospiesznie wtrącił Jim. - Maude, leć do domu i zobacz, czy pani Winters może przyrządzić dla nas coś smacznego. Coś, co będzie można przynieść tutaj. Zjemy w domu Lucy.

- Nikt na mnie nie zwraca uwagi - poskarżyło się dziecko.

Dziewczynka przytuliła się do Lucy z całej siły, o mało nie przewracając ich obu.

- Kocham cię - szepnęła.

- Ja ciebie też kocham - odparła Lucy.

- Pójdziemy popływać jutro - rzekł Jim ze znużeniem.

- Dopiero wpół do jedenastej - odparła Lucy.

- Jeszcze wczesna pora.

- Taak - westchnął. - Czy jest jeszcze coś w torbie?

- W tej już nie.

- Sugerujesz, że jest ich więcej? - Spojrzał na rozłożony stół w jadalni pokryty stosami dokumentów, niektórych tak starych, że rozsypywały się w rękach.

- Tylko jedna. Może zrobimy sobie przerwę?

- Świetny pomysł. Spójrz na ten stolik. Nigdzie, z wyjątkiem muzeum, nie widziałem uprzywilejowanych obligacji Northern Pacific. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czy posiadają jakąś wartość.

- A ta druga kupka?

- To poważniejsza sprawa. Obligacje państwowe. Tak samo dobre w terminie płatności, jak i później. Z pewnością można je spieniężyć. Za ile - nie mam zielonego pojęcia. Nie wypłacają od nich odsetek. A tamten stosik... nie mam całkowitej pewności, ale przysięgłbym, że to pieniądze konfederackie. Skąd to wzięłaś, Angie?

- Nie jestem pewna. To, co jest w tych ostatnich stertach, nadeszło nagle, kiedy obaj moi wujkowie umarli w tym samym tygodniu. Podejrzewam, że wujek Willie to zachował. Trzymał w domu wszystko, poczynając od sznurka, a kończąc na biletach na mecze baseballowe.

Nastąpiła chwila ciszy. Już dawno minęła pora, o której Angie zwykle kładła się spać. Starsza pani była zmęczona. Zmęczona, ale szczęśliwa. Teraz to już nie żarty, pomyślała. W razie czego mam co zostawić Lucy.

- Od tej chwili ani razu nie postawię na konia - przyrzekła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Lucy pomogła jej się położyć.

Kiedy z powrotem weszła do jadalni, masując kark, Jim spytał:

- Ból pleców?

- Od pochylania się nad stołem. Oczy też mnie bołą. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak mało światła mamy w tym pokoju. Cieszę się, że to zaczęliśmy. Angie ma znacznie lepsze samopoczucie. Ostatnio nie cmh się zbyt dobrze. Może jest jej tu za ciasno. To duży dom, ale z mnóstwem bardzo małych pokoi. Nie mogę przestać się o nią martwić. Jak myślisz, co powinniśmy teraz zrobić?

- Powinniśmy zacałować się na śmierć. Stuknęła go pięścią w ramię.

- Nie pytam o nas, tylko o nią. O Angie.

- To jest sprawa, z którą musisz się zwrócić do bankiera.

Mam u siebie urzędników, którzy mogliby to wszystko uporządkować, oszacować wartość i tak dalej. Ale powinniśmy również znaleźć Angie dobrego adwokata.

- Podoba mi się, kiedy mówisz „powinniśmy”. Czy my naprawdę jesteśmy „my”, Jim?

- Naprawdę. Nic nas już teraz nie rozdzieli, najukochańsza Lucy.

- Wolałabym, żebyś się nie śmiał, kiedy to mówisz.

- Miałem skrzyżowane palce.

- Ale ja nie wiem nic o wychodzeniu za mąż i w ogóle. Moja mama umarła tak dawno temu i...

- Właśnie tego mi trzeba - zachichotał. - Sam nauczę cię wszystkiego, co chcę, żebyś wiedziała o małżeństwie.

- Wspaniale Jim, ale przed ceremonią chciałabym zajrzeć w twoje zęby. Pamiętam historię o Czerwonym Kapturku. Uwierzyła wilkowi na słowo, a wilki są miłsze od bankierów.

- No, Lucy Borden, zraniłaś mnie do żywego. Jak do tego doszłaś?

- Kiedy cię poznałam, zamknąłeś Dom Spokojnej Starości i ci wszyscy biedni pensjonariusze wyładowali na ulicy. Nie sądzisz, że to było wyjątkowo podłe?

- Musiałaś mnie pomylić z jakimś innym bankierem. Ja z pewnością nie przejąłem tego domu. Możliwe, że zrobiłbym to, gdybym był właścicielem jego hipoteki, ale nie jestem.

- Ulżyło mi, że to nie ty. Ale czy zrobiłbyś to?

- Bez wątplenia. Nie jestem jedynym właścicielem banku. Są jeszcze deponenci i udziałowcy. Ja tylko kieruję bankiem, starając się zarobić trochę pieniędzy dla siebie i udziałowców. Wykorzystuję w tym celu pieniądze deponentów. Tak więc każdy, kto kręci coś z hipoteką w moim banku, niech lepiej spłaca wszystko w terminie, bo inaczej...!

Trudno jest kobiecie zorientować się, czy mężczyzna mówi poważnie, czy nie, zwłaszcza gdy jego dłonie przesuwają się wzdłuż jej kręgosłupa, a oczy zamieniają się w wąskie szparki. I kiedy błądząc palcami po jej plecach pyta podekscytowany: „Jak się to, do licha, odpina?“, każda szanująca się kobieta musi zrozumieć, że ich znajomość nie pozostanie platoniczna.

- Z przodu są małe guziczki - odparła, ale kiedy jego dłoń powędrowała w tym kierunku, zerwała się z jego kolan i stanęła po drugiej stronie stołu.

- Aha - powiedział - a więc to koniec dzisiejszych figli?

- I lepiej potraktuj to poważnie.

- Nic z tego aż do ślubu?

- Och, Jim! - Rzuciła mu się w ramiona. - Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba się w tobie zakochuję, a przecież cię nawet nie lubię.

- Moglibyśmy spędzić razem noc i zobaczyć, co z tego wyjdzie - zaproponował. - Mówię poważnie.

- Dzięki za propozycję - odparła stanowczo.

- Drzwi mojej sypialni otwierają się za ołtarzem. Moja babcia zawsze mi to powtarzała i ja w to wierzę. Lepiej wracaj do domu i wyśpij się. Maude będzie znowu chodziła przez sen.

- Nie ma takiej obawy. Nie zrobiła ani jednego kroku, nawet nie zakwiliła, odkąd odesłaliśmy słodką cioteczkę Eloise. Widzę, że twarda z ciebie sztuka, Lucastro Borden.

- I śpię z otwartymi oczyma - ostrzegła go.

- Dobranoc, panie Proctor.

Śmiał się wychodząc. Lucy zamknęła za nim drzwi i, oparłszy się o nie, myślała o słodkiej nagrodzie swojego serca. „Każdy, kto kręci coś z hipoteką w moim banku, niech lepiej spłaca wszystko w terminie, bo inaczej...!” W jednej chwili słodki sen zmienił się w koszmar. Któż inny, jak nie Lucastra Borden, robi wszystko, by nie spłacić hipoteki? A kiedy on się o tym dowie? Koniec świata!

Idąc na górę do swego pokoju poczuła, że cała drży. Na moment przystanąła w holu na górze i wyjrzała przez okno na drogę. Po drugiej stronie ulicy, pod drzewem klonowym, ktoś czaił się w ciemności. Nie był najlepszym fachowcem - zapalił papierosa, zdradzając tym samym swoją pozycję. Lucy poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. To człowiek Jima, pomyślała. Pilnuje nas i nic o tym nie powiedział. To do niego podobne. Może naprawdę go kocham?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia Lucy zeszła na dół rozpromieniona. Po chwili odkryła, jakiego psikusa spłatała jej pogoda. Od strony Atlantyku napływały ciężkie, szare kłęby mokrej mgły. Ledwo można było dojrzeć drugi brzeg zatoki Mattapoisett. Budynki po przeciwnej stronie też były zupełnie niewidoczne.

- Do diabła! - krzyknęła, wchodząc do domu z tylnej werandy.

- Mieliliśmy dzisiaj popływać!

- Nie denerwuj się - pocieszała ją Angie. - Możecie popływać po zatoce, nie musicie wypływać na otwarty ocean. Co jest na śniadanie?

- Placki ziemniaczane.

- Chyba przybyło mi ze dwa i pół kilo, odkąd wróciłam do domu. To znaczy, odkąd opuściłam...

- Nie pomyliłaś się. - Lucy podeszła do Angie i uściskała ją delikatnie. - Odkąd wróciłaś do domu.

- Ty zawsze wiesz, co powiedzieć - szepnęła starsza pani. - Ale przypuścimy, że... Przypuścimy, że w przypiływie szaleństwa zdecydujesz się wyjść za tego bankiera. Co wtedy?

- Nic - odparła Lucy. - Wszystko po staremu. Jeszcze mu o tym nie mówiłam, ale jeśli rzeczywiście się pobierzemy, będzie musiał wziąć nas oboje. Oczywiście nie ma na razie mowy o żadnym małżeństwie - wycofała się zaraz pośpiesznie.

- On wcale tak nie myśli. Spójrz na jego oczy, dziewczyno, kiedy na ciebie patrzy.

Obie zajęte były jedzeniem, kiedy z zewnątrz dobiegł okrzyk i odgłos zbliżających się kroków. Wreszcie Maude i jej ojciec wkroczyli przez frontowe drzwi.

- Zupełnie zapomniałem, że nie masz jeszcze tylnych schodów oddanych do użytku - odezwał się Jim Proctor. - Dzień dobry, śliczna. - Pocałował Angie, po czym zawahał się przez chwilę. - Dzień dobry, Lucy.

Delikatny pocałunek, sprawił dziewczynie przyjemność. Zaczerwieniła się i cofnęła.

- Płyniemy łowić ryby. Ty, ja i tatuś! - oznajmiła Maude.

- Naprawdę? Ale ja i Angie musimy skończyć śniadanie i...

- Pomogę wam.

- Maude! Trudno uwierzyć, że właśnie wstałaś od stołu. Pani Winters będzie tu za parę minut, spędzi z tobą ranek, Angie. Wszystko będzie w porządku?

- Oczywiście - powiedziała starsza pani. - Bawcie się dobrze i trzymajcie się z dala od skał. Czy którekolwiek z was ma kartę wędkarską?

- Nie - odparł śmiejąc się. - Ale też żadne z nas nie ma przynęty.

Jego łodzią był ponad czterometrowy jednomasztowiec z włókna szklanego, szeroki, płytki, dodatkowo wyposażony w ciężki miecz. Stał zakotwiczony około trzech metrów od małego

mola przed jego domem. Był właśnie przyływ. Nawet najmniejszy podmuch wiatru nie marszczył fal leniwie uderzających o brzeg.

- Płyniemy wpływ? - spytała Maude.

- Tak - odparł ojciec. - Chyba że wolisz wziąć gumowy ponton. Leć i zobacz, co się z nim dzieje.

Dziecko wesoło biegło przed nimi. Lucy wykorzystała tę chwilę, by wyjaśnić parę spraw.

- Jaki jest właściwie cel tej ekspedycji, panie Proctor?

- To się nazywa randka - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Oczywiście branie ze sobą córki jest dość niezwykle, ale pomyślałem, że możemy spróbować.

- Naprawdę? - Lucy zagryzła dolną wargę, po czym odwzajemniła uśmiech. - Zaloty? No cóż, na razie wstrzymam się z oceną.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Chodź! - krzyknął i ruszył w stronę pontonu. Mała gumowa łódeczka była tak załadowana

koszykami z jedzeniem, że ledwo starczyło miejsca dla nich trojga. W końcu jednak pokrzykując, wiercąc się i pchając, dotarli do miejsca zakotwiczenia łodzi. Po chwili żaglowiec zaczął sunąć po wodach oceanu.

Lucy wygodnie usadowiła się przy tylnej ścianie otwartego kokpitu, jedną rękę oparłszy na rumplu. Jim wcisnął się pomiędzy rumpel a nią, tak że nawet nie sposób było się ruszyć. Kiedy otoczyło ją jego ramię, przyjęła to jako naturalną kolej rzeczy.

- Teraz łowimy - zarządził.

- Nie mamy wędek - stwierdziła.

- Maude ma swoją na dziobie. My popatrzemy. Dziewczynka siedziała okrakiem na dziobie z wędką w rękę i linką zanurzoną w wodzie.

- Czy kiedykolwiek złapano jakąś rybę w tym rejonie?

Lucy ciężko chwyciła powietrze. Męska dłoń oparta na jej ramieniu niebezpiecznie zbliżała się do jej piersi.

- Nigdy o tym nie słyszałem - odparł. - Ale to nie ma znaczenia. Maude jest wszystko jedno, a my mamy już rybę do usmażenia. - Jego ręka głaskała jej piersi, pokryte jedynie cienką bawełną sukienki. Lucy podskoczyła nerwowo.

- Jestem głodna - paplała. - Jeśli w koszyku jest jakaś kanapka...

- O Boże, zapomniałem - westchnął. - Jesteś pewna, że nie pochodzisz od purytańskich osadników?

- Tatusiu? - W głosie Maude zabrzmiał niepokój. Jim spojrział na nią. - Tatusiu, miasto właśnie zniknęło.

Obejrzał się. Mgła wpełzła do zatoki, przysłaniając wszystko w polu widzenia. W tej samej chwili coś zaczęło dźwięczeć w jego kieszeni. Wyjął małe plastikowe pudełeczko.

- Hej, przepraszam, ale ktoś mnie potrzebuje w banku. Lepiej wracajmy do domu.

Wstał, w rekordowym tempie podniósł kotwicę i rozwinął żagiel. Łódź przechyliła się nieco, przecinając fale. Skierowali się prosto na latarnię w Ned's Point. Za nimi wyła potężna syrena mgłowa.

- Jak przyjemnie - wyszeptwała Lucy, przeciągając się i odprężając. - Jedyne, co musimy zrobić, to...

- Modlić się - dokończyła Maude.

Wiatr, który przez chwilę wydymał żagiel, zamarł i ogromny kawał płótna wisiał, kiwając się bezwładnie w przód i w tył. Łódź zatrzymała się.

- Nie jestem pewna, ale chyba przegrywamy ten wyścig - powiedziała Lucy. - Co teraz, kapitanie?

- To bardzo proste.

Schylił głowę pod kołyszącym się bomem i wyciągnął parę masywnych wiosel.

- O, nie - jęknęła Lucy.

- Coś nie tak? To tylko wiosła, dziewczyno.

- Tylko wiosła, rzeczywiście - warknęła. - Sześć lat temu wybrałam się na randkę z Hoagym Smithem.

Była mgła i skończyła nam się benzyna. Dobrze to pamiętam. Cztery godziny zabrało nam wiosłowanie z powrotem do przystani.

- Cieszę się, że jesteś obeznana z tymi przyrządami - rzekł Jim Proctor. - Siadaj przy lewej burcie, a ja przy prawej. Maude, ty przejmiesz ster. W porządku?

- W porządku - odparła Lucy. - Ale jak długo musimy wiosłować i kto wie, dokąd sterować?

- Do Ned's Point jest około mili. Nie powinno to długo potrwać. To jest lekka łódka z włókna szklanego. Ja będę wskazywał kierunek. Znam tutaj każdą skałę i każdą mieliznę.

- O, z pewnością - przytaknęła posępnie Lucy. Włożyła długie wiosło w dulkę i poddała swe mięśnie próbie. Poczowała w nich ból, zanim łódź ruszyła.

- Nie chcielibyśmy wiosłować w kółko. - Jim pouczał małą, pokazując jej zestaw kompasów.

Łódka była tak lekka, że wystarczyło parę uderzeń wiosłami, by zaczęła płynąć. Otuliła ich mgła, przepuszczając plamę światła o średnicy piętnastu metrów.

- Tatusiu, nie podoba mi się to - jęknęła Maude.

- Nie ma się czym martwić - odparł bankier, pocąc się obficie.

- Znam każdą mieliznę i każdą skałę w tym rejonie.

W tym momencie rozległo się głucho uderzenie. Łódź na chwilę zatrzymała się, po czym, zebrawszy na nowo siły, ponownie ruszyła naprzód.

- Widzisz? - skomentował Jim. - To była właśnie jedna z nich.

- Jakie zabawne! - rzuciła córka, wzmacniając uchwyt na rumplu. - Lucy! Zrób coś!

- Właśnie robię. - Lucy brakowało już tchu.

Pochyliła się nad swoim wiosłem, starając się dopasować do rytmu pracy Jima. Nie było to łatwe.

- Czy płyniemy w dobrym kierunku, Maude?

- Nie wiem - odparło dziecko. - Wszystkie kierunki wyglądają tak samo.

- Patrz na kompas!

Po raz pierwszy Lucy słyszała, jak krzyczał na dziecko. Była tak zaskoczona, że przestała wiosłować i spojrzała na niego.

- Nie patrz tak na mnie! - wrzasnął. - Wiosłuj! Wiosłuj!

- Przecież to robię - mruknęła pod nosem. Całe szczęście, że nie ma bata! - pomyślała. Wiosłowali już około godziny.

- Boję się - jęknęła Maude.

- Jesteśmy w dobrych rękach - powiedziała Lucy, sama nie wierząc w to, co mówi. - Twój ojciec całkowicie panuje nad sytuacją.

- Boję się. - Maude stłumiła szloch. - Będę jedyną dziewczynką z trzeciej klasy, która zaginęła na morzu i utonęła.

- Nonsens - odparła Lucy. - Znajdujemy się w samym środku zamkniętej zatoki, a wokół nas setki ludzi zajmują się swoimi codziennymi sprawami. Twój tatuś wie wszystko. Musimy wierzyć w jego ocenę sytuacji i umiejętności żeglarskie.

Pomacała ręką u swoich stóp, gdzie leżał jeden z koszyków, w który, jak pamiętała, włożyła swój lekki sweter. Kręcąc się i wyginając, wyciągnęła go teraz i rzuciła w stronę trzęsącego się dziecka.

- Teraz lepiej?

- Lepiej. Powiedz mi, że się nie boję.

- Nie boisz się, dziecinko. Nie ma czego.

- Absolutnie - dodał jej ojciec. - Ale byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyś nie przestawała wiosłować!

Wszystko jest pod kontrolą. Dokładnie wiem, gdzie jesteśmy i...

Mały, ledwo pływający jednomasztowiec uderzył w następną skałę. Miecz z terkotem podniósł się i opadł.

- Tam jest światło! - krzyknęła Maude z podnieceniem. - Widzę światło!

Rzeczywiście, dokładnie przed nimi widać było duże światło.

- Hej! - Jim się zaśmiał. - Udało nam się.

W tym samym momencie łódka uderzyła w kolejną skałę i z impetem wpadła na plażę. Nagłe hamowanie rzuciło wszystkich do przodu na bezładny stos, z którego Jim natychmiast się wydostał.

- Wszystko w porządku, Maude?

- Uderzyłam się w ramię - odparła dziewczynka.

- A ty, Lucy?

Czy to nie właściwa kolejność? - spytała samą siebie. Najpierw sprawdził, co z córką. Czyżby była zazdrosna? Mimo wszystko z pewnością zachował odpowiednią kolejność.

- W porządku - odpowiedziała. - Potłuczona i posiniaczona, ale poza tym wszystko dobrze.

- Grzeczna dziewczynka. - Poklepał ją niezbyt delikatnie po pośladku. - Widzicie - powiedział cicho. - Jesteśmy.

Zerwał się wiatr, wrywając dziury w ścianie mgły. Łódź została zepchnięta jeszcze parę centymetrów dalej na piach, po czym bezpiecznie i mocno osiadła na plaży. Dokładnie przed nimi znajdowała się mała wieża latarni morskiej, pracowicie wysyłająca sygnały świetlne.

- Ned's Point. Wszyscy wysiadać! Maude wślizgnęła się w ramiona Lucy.

- Nie bałam się - wymamrotała.

- Ja też nie - zapewniła ją dziewczyna. - W końcu twój ojciec się nami opiekował.

- Oszczędźcie mi pochwał - powiedział Jim Pro-ctor i obie porwał w ramiona. - Przynajmniej ja jestem gotów się przyznać. Bałam się.

- Jim!

- Byłem... zaniepokojony - poprawił się. - Chodźcie, koniec tego dobrego. Od tej pory idziemy pieszo!

Uśmiechnął się szeroko na dźwięk zbiorowego jęku, ponaglił je, by zeszyły na piach i podał im koszyki. Cała trójka pokonała lekkie wzgórze i upatrzawszy sobie jedną z ławek, znajdujących

się w parku, ciężko na nią opadła. - Uff! - westchnęli jednocześnie, po czym roześmiali się.

- Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze - oznajmiła promiennie Maude. - Mój tatuś wszystko potrafi.

- Masz kanapkę i cicho bądź - odpowiedział jej ojciec, sięgając do koszyka z jedzeniem.

- Twoja córka ma absolutną rację - włączyła się Lucy.

Po raz pierwszy w swym młodym życiu czuła, że to prawda. Od czasu śmierci ojca aż do tej pory nie spotkała mężczyzny, na którym mogłaby polegać. Oczywiście to była głupota wypływać w mglisty dzień. Ale on, wykorzystując swoje doświadczenie, przywiódł ich z powrotem do bezpiecznej przystani i... Żaden człowiek nie jest ideałem, ale Jim Proctor jest tego bliski. Może to nieprawda, że go nie lubię?

Beeper w jego kieszeni ponownie się odezwał. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Zostałem bankierem, ponieważ nigdy nie trzeba było pracować w weekendy - stwierdził ironicznie. - I spójrz teraz na mnie. Sobotnie popołudnie, a oni już starają się mnie złapać.

Zabawne. Mgła w dalszym ciągu spowijała całunem świat. Wszystko przypominało szary labirynt. Mimo to wciąż rozlegał się przenikliwy dźwięk beepera, wzywający go z powrotem do świata cadillaców i działów rachunkowości.

- Jedyne, co musimy zrobić, to iść prosto tą drogą - oświadczyła Lucastra. - Stąd do naszych frontowych drzwi nie może być więcej niż kilometr. Zostawimy koszyki...

- I łódź - wtrącił Jim Proctor.

Maude podskakiwała na przodzie, kiedy schodzili w dół wąską drogą. Lucy wzięła Jima pod rękę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała cicho, tak żeby dziecko nie mogło usłyszeć.

- Chodzi ci o mgłę?

- Nie mgłę, głuptasie. Cały dzień. Dlaczego?

- Ach, to. - Zwolnili i położył rękę na jej dłoni.

- Jak już mówiłem, to staroświecki zwyczaj zwany umawianiem się na randkę. Z pewnością tak przystojna kobieta, jak ty, bywała już na randkach?

-Tak... ale nigdy z kimś, kto zabrał mnie w mgłę i...

- Może nie jestem w tym dobry - przerwał zirytowany. - Wiele czasu spędziłem starając się zrobić pieniądze. Moja pierwsza żona była mi jak gdyby ofiarowana w podarunku.

- Jeśli chodzi o mgłę i tak dalej, to myślę, że postąpiłeś bardzo dobrze. Zwłaszcza zabierając swoją córkę. Umawianie się z mężczyzną i jego córką to dla mnie coś nowego. Było bardzo miło. Może powtórzylibyśmy to kiedyś w przyszłości? - Ścisnęła jego ramię.

Przeszli około jednej czwartej odległości dzielącej ich od domu, gdy podjechał do nich posuwający się wolno pontiac. Kierowca zatrzymał się.

- Paskudna pogoda na wyjście z domu - zagaił Jim Proctor, kiedy już wszyscy wcisnęli się do samochodu.

- Święta racja - zgodził się kierowca, typ starego wilka morskiego, z czerwoną twarzą okoloną białą brodą. - Sam bym wcale nie wychodził, gdyby jakiś idiota nie wysyłał przez radio z łodzi motorowej wezwania o pomoc. Jestem w rezerwie straży przybrzeżnej. Odpowiadamy na wszystkie wezwania. Mam nadzieję, że ten osioł prawidłowo wyznaczył kurs. Wyobrażacie sobie? Wypłynąć w mgłę bez loranu, bez radaru, bez niczego? I bez wystarczającej ilości benzyny, żeby wrócić do domu?

- Nie, nie wyobrażam sobie - odparł Jim Proctor, uciszając córkę. - A oto i nasz dom. Dziękujemy za podwiezienie.

- Masz szczęście - Lucy szepnęła mu do ucha, kiedy pomagał jej wysiąść z samochodu.

Angie i pani Winters rzuciły się do drzwi, gdy usłyszały warkot silnika i kroki.

- Bogu dzięki - rzekła Angie. - Zaczynałyśmy się już o was martwić. Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Mieliśmy małe kłopoty, ale chyba każdy je ma w takim dniu - relacjonował Jim, kierując się do telefonu. - Halo!

- Ten mężczyzna w samochodzie był ze straży przybrzeżnej - odezwała się Maude. - Powiedział, że ten, kto wypłynął łodzią w taki dzień, musi mieć nie po kolei w głowie.

- Idź lepiej na górę i załóż coś ciepłego - zaproponowała Lucy.

- Cholera! - Proctor odłożył słuchawkę. - Nie mogę w to uwierzyć!

- W co? - spytała Angie.

- Jest sobotnie popołudnie - odparł z oburzeniem - a mimo to przybyła komisja federalna, żeby przejrzeć księgi. To gorsze niż...

- Podwożę cię - zaoferowała się Lucy.

- Nie ma potrzeby. Zadzwońm po szofera. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby Maude mogła tu zostać, dopóki nie uporam się z tym idiotyzmem. Zapomniałem, że dałem moim dwóm ludziom wolny weekend. Myślałem, że... - W jego oczach pojawił się ostry błysk, a ręka musnęła ramię Lucy, wykazując wyraźną tendencję do ześlizgnięcia w dół.

- Tak to czasami bywa - powiedziała dziewczyna, pośpiesznie się cofając. - Bądź ostrożny. Mgła jest wszędzie. Rozpalę w kominku, żeby przegnać chłód. Myślę, że mogłybyśmy upiec hot-dogi przy ogniu. Pani Winters, jeśli tylko potrafi pani odnaleźć drogę do miasta, nie ma potrzeby, żeby pani zostawała.

- Wezmę panią ze sobą. - Jim wyglądał przez okno. - Już jest samochód.

Zapanowało zamieszanie, kiedy we dwójkę ruszyli do drzwi.

- Ależ ty jesteś zupełnie przemoczony, Jimbo - zaprotestowała Angie. - Powinieneś się przebrać przed pójściem do pracy.

- Nie martw się. Jestem tak wściekły, że samym gniewem osuszę te ciuchy w przeciągu paru minut. Lucy, to był bardzo miły dzień. Może powtórzymy go kiedyś?

- Może? - Lucy zachichotała wiedząc, że marzy mu się o wiele więcej.

Czy aż tak bardzo będę się starała go powstrzymać? - spytała samą siebie.

Maude z hałasem zbiegła ze schodów w chwili, kiedy jej ojciec był już przy drzwiach.

- Tatusiu?

Zatrzymał się. Maude przebiegła przez pokój i rzuciła się na niego. Podniósł ją do góry i trzymał wysoko nad głową, a potem pocałował.

- Nie mogę iść z tobą?

- Nie tym razem, kochanie. Zostaniesz tu z Lucy i przyrządzisz obiad nad ogniem.

- Tak, Lucy i ja musimy się lepiej poznać, prawda? Pani Winters, czy pani wie, że Lucy będzie moją mamą?

- Cóż, to trochę przedwczesne - zaprotestowała dziewczyna. - My jeszcze nie...

- Ależ tak - przerwał Jim. - Uważaj to za załatwione. Przyszły wtorek rano w Kościele Kongregacjonalistów. O jedenastej. - Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Och! Ten człowiek może doprowadzić do szalu! Wszystko, co mówi, traktuje tak, jakby było odlane ze złota! I w ogóle nie słucha. Już tysiąc razy mówiłam mu „nie"! Miałabym ochotę palnąć go prosto w nos! - piekliła się Lucy.

- Więc czemu tego nie zrobisz? - spytała cicho Angie.

- Ponieważ... ponieważ boję się, że może mi oddać.

- Aha - mruknęła staruszka.

- Nie pozwolę mu - oświadczyła z uporem Mau-de. - Nawet mojemu tatusiowi. Pragnę, żebyś została moją mamą. Jeśli podniesie na ciebie rękę, ja... ja ugryzę go w kostkę!

- I to jest chyba najlepsza propozycja, jaką otrzymałam od tygodni - odparła Lucy. - Bierzymy się za obiad?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Cała zeszytniałam - powiedziała Lucy, obracając się na ręczniku, by wystawić plecy do słońca.

- Posmaruję cię kremem z filtrem i przy okazji wymasuję - zaproponował Jim i wziął się do pracy, zanim zdążyła zaprotestować.

Jego ręce były delikatne i gładkie. Westchnęła z zadowoleniem.

- Nieźle jak na bankiera - droczyła się.

- Nie mów tak. Może nie zawsze będę bankierem. Jest milion rzeczy, które wolałbym robić.

- Macie zamiar siedzieć tu na kocu przez cały dzień? - Maude przebiegła obok. Jak zwykle życie małych dziewczynek upływało w szalonym pędzie.

- Zaraz do ciebie przyjdziemy! - zawołała za nią Lucy.

Dziecko pobiegło do wody i zanurkowało.

- Boże, co za warunki do zalotów - wymamrotał Proctor.

- Och, więc to dzisiaj mamy w programie? Myślałam, że miałeś już dosyć wczoraj.

- Ani trochę. A zostało nam niewiele czasu. Bierzemy ślub we wtorek.

Czyżby? - pomyślała Lucy. Czemu nie mogę w to uwierzyć, nawet gdybym chciała?

Nie musiała zmieniać tematu. Zrobił to za nią. Wsunął palec pod brzeg jej kostiumu kąpielowego i kontynuował masaż.

- I nie mów mi, że jest ci nieprzyjemnie - wyszeptał, choć na jego twarzy malowała się niepewność.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - odparła promiennie. - Ale twoja córka patrzy i sędzę, że nawet idzie w tę stronę.

Lucy westchnęła. To był jej dom - plaża, morze, ptaki... ten męczyzna?

- Obróć się - rozkazał.

Usłuchała niemal bezwiednie. Jego dłonie pracowicie przesuwały się w górę i w dół jej ud, rozsmarowując krem.

- Miałaś wiadomości od Eloise? - spytała leniwie.

- Nie dalej jak wczoraj. Właściwie od jej matki. Poinformowała mnie, że Eloise jest w depresji i że zabiera ją w rejs dookoła świata. Chciała wiedzieć, czy może wziąć ze sobą Maude.

- O Boże, ty nie...?

- Nie. Powiedziałem babci, że chciałbym, by Maude z nią pojechała, ale ma właśnie wietrzną ospę o wyjątkowo paskudnym przebiegu.

- A babcia jeszcze na to nie chorowała?

- Mądra dziewczynka. Babcia jeszcze na to nie chorowała.

Lucy spojrzała przez ramię na bruzdy i zmarszczki przecinające jego ponurą twarz. W oddali rozbrzmiały dzwony kościelne. Usiadła i usłuchawszy nakazu sumienia, z żalem odsunęła jego dłonie. Niedobrze, pomyślała. Leżę na plaży w niedzielę rano, ciesząc się życiem, a męskie dłonie głaszczą moje ciało. I to w miejscu publicznym. Powinnam teraz znajdować się w kościele.

- Po wczorajszym dniu należy nam się trochę spokoju. Zaproponowałbym ci, żebyśmy poszli popływać, ale kiedy odnaleźli naszą łódź, okazało się, że ma dziurę na dziobie.

Lucy wstała i otrzepała się. On również się podniósł ze zbolaną twarzą, w rękę trzymając buteleczkę z kremem. Pod wpływem impulsu dziewczyna pocałowała go w policzek.

- Zaczynam zmieniać o tobie zdanie. Robisz się coraz miłszy.

- Cieszę się, że takie są twoje odczucia. Ślub jest wciąż wyznaczony na wtorek.

- Cóż, nie jestem pewna, czy jesteś aż tak miły - zripostowała i odwróciwszy się, pobiegła do oceanu.

Proctorowie zjedli lunch z Lucy i Angie. Weszło to w zwyczaj, który sprawiał przyjemność obu paniom. Około trzeciej, kiedy Maude potrzebowała zapalek, żeby nie zamykać

oczku, Jim przeprosił panie i zabrał ją do domu. Angie i Lucy obserwowały, jak kroczy wzdłuż plaży, niosąc na ramionach córeczkę.

- Lubisz go, prawda? - spytała Lucy.

- Tak. Wspaniały, młody mężczyzna. - Cień bólu pojawił się na twarzy starej kobiety i w tej samej chwili zniknął. - Jak sobie może przypominasz, znałam jego rodzinę. Wydawała wspaniałych mężczyzn i jeszcze wspanialsze kobiety.

Dostrzegłszy zmianę wyrazu twarzy starszej pani, Lucy podeszła do wózka i pogłaskała cienkie, siwe włosy rozwiane na wietrze.

- Nie czujesz się najlepiej, prawda?

- Och, nic mi nie jest.

- Nie mów tak. Może jestem młoda i głupia, ale nie ślepa. Mnie możesz się zwierzyć.

Stara ręka uniosła się i spoczęła na dłoni Lucy. Jej skóra jest przezroczysta jak pergamin. Więdnie na moich oczach, a ja tego nie zauważyłam! - wyrzucała sobie Lucy. Ogarnęło ją poczucie winy.

- Ludzie nie żyją wiecznie - powiedziała Angie. - Nie mogę się doczekać wtorku.

- Wtorku? Dlaczego wtorku?

- Ponieważ słucham i obserwuję, kochanie, i wiem, że poślubisz go we wtorek.

- Boże, czy to jest aż tak widoczne? Nawet on tego nie wie, chociaż tyle mówi.

- Och, wyjdiesz za niego, na pewno. Będiesz żyła długo i szczęśliwie. Czy nie tak się mówi? I wiesz co? We wtorek skończę dziewięćdziesiąt trzy lata.

- We wtorek? Dziewięćdziesiąt trzy lata? Ojej!

- Żyję po to, by zobaczyć ten dzień, Lucy. Tak bardzo chcę go zobaczyć, zanim...

- Hej, dosyć tych smętnych historii! Nic nie wiedziałam o twoich urodzinach. Chyba zorganizujemy jakieś przyjęcie?

- Tak. - Drżący głos załamał się. - Zaraz po ślubie. Czyż nie byłoby miło?

- Nawet bardzo. Jesteś zmęczona?

- Tak, to dziwne. Prawie osiemdziesiąt pięć lat temu zrezygnowałam z popołudniowych drzemek, a teraz z chęcią przespałabym się. - Poglaskała rękę Lucy. - Dobra z ciebie dziewczyna. Przemiała istota. Mam nadzieję, że on na ciebie zasługuje.

- I nawzajem. Chodź, schowamy się przed tym wiatrem.

- Nie mów tak. Nigdy nie chciałabym być odcięta od wiatru i morza. Kiedy umrę...

- Boże, nie rozmawiajmy o tym. Nikt nie umrze. Mamy przed sobą całe lata.

- Wszyscy umierają. Śmierć jest tak samo częścią życia jak... Boże drogi, dziewczyno. Nie płacz nade mną!

- Nie płaczę. - Lucy zdołała stłumić łzy.

- Och, kiedy już odejdę, chciałabym zostawić ci wszystko. - Lucy uniosła dłoń w geście protestu.

- Nie, nie sprzeciwiaj mi się. Nie mam nikogo innego. Powiedziałam to w zeszłym tygodniu mojemu prawnikowi. Testament jest w kasetce, w mojej szafie. Wszyscy moi krewni poodchodzili. Przeżyłam swoje pokolenie. Jest jeszcze coś, o co chcę cię prosić. Chciałabym, żeby moje ciało zostało poddane kremacji, a popioły rozrzucone nad zatoką.

- Dostyc już tej rozmowy.

Lucy zdołała się opanować. Po chwili starsza pani znalazła się w łóżku, a w dziesięć minut później spała.

Jaka ona blada, pomyślała dziewczyna, siedząc w fotelu przy łóżku Angie. Dotrzymywała nam kroku przez ostatnie dni, ale zupełnie ją to wyczerpało. Może powinnam wezwać lekarza?

Był jasny, słoneczny poniedziałek. Angie wciąż spała, kiedy Lucy przeciągnęła się i na palcach weszła na górę, żeby wziąć prysznic. Przez całą noc czuwała przy łóżku Angie. Starsza pani wierciła się i kręciła, mamrocąc coś przez sen. Uśmiechała się i

łkała na przemian, przeżywając na nowo swoje życie. Przez cały czas trzymała Lucy za rękę i protestowała, kiedy dziewczyna próbowała ją cofnąć. Z nadejściem świtu Angie uspokoiła się i leżąc płasko na plecach ciężko oddychała.

Gorąca woda podziałała na Lucy odświeżająco. Uśmiechając się, przeglądała zawartość szafy. Z pewnością on, a może ona, powie coś, co prawdziwie zwiąże ich na całe życie. To była zdumiewająca myśl, jaka jeszcze nigdy przedtem nie przyszła jej do głowy.

Trzeba wybrać coś lekkiego. I wesołego. Rozszerzana dołem sukienka bawełniana, by pieszczotliwie opinała jej ciało, złota, żeby odzwierciedlała jej szczęście.

Zeszła z powrotem na dół. Angie wciąż spała, choć jej oddech był rzęzący. Należało wezwać lekarza.

- Tak naprawdę nie mogę już nic zrobić - oświadczył doktor Halpern. - Pani Moore jest już stara. Jej organizm się zużył. Ale jeśli ma ci to poprawić nastrój, Lucy, wyślę do ciebie ekipę pielęgniarską, powiedzmy, około dziesiątej. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przywiozą ją do szpitala na badania.

To wszystko, co mogę zrobić, pomyślała Lucy.

Chodziła po doniu na palcach, unikając hałasu i zaglądając od czasu do czasu do Angie. Zrobiła sobie śniadanie.

O ósmej pojawiła się Maude, którą dziewczyna z miejsca uciszyła, udzielając wyjaśnień.

- Jesteś bez śniadania? - Lucy zaoferowała małej pozostawioną przez siebie grzanekę.

- Bez. Wstał wcześniej i pojechał do banku.

- Dobrze, kochanie. Dwa jajka, sok pomarańczowy? Mleko?

- Kawa - odparło dziecko i schyliło głowę, zdradzając się w ten sposób.

- A kiedy to ostatni raz tatuś pozwolił ci pić kawę na śniadanie, młoda damo?

- Nigdy, ale pomyślałam, że skoro jesteś od niego milsza, mogłabyś mi chociaż pozwolić spróbować.

Lucy przygotowując śniadanie zamyśliła się. To miał być cudowny dzień. Matka natura zatroszczyła się o jego oprawę, ale widoczna choroba Angie psuła wszystko. Może starsza pani po prostu odsypia ekscytujące dni, które ostatnio przeżywała ich mała rodzinka. Nie trzeba się dzisiaj niczym specjalnie przejmować. Zobaczmy, co będzie dalej.

Spokój panujący w domu zakłóciło pojawienie się Jima Proctora.

- Co jest, u licha? - mruknął z twarzą zaczerwienioną gniewem. - Musze z tobą porozmawiać, panno Borden!

Dziewczyna wzięła go pod ramię i wyprowadziła z domu.

- Angie jeszcze śpi - wyjaśniła. - O co chodzi?

- Dobrze wiesz, o co chodzi - warknął. - Inspektorzy przyjechali w czasie weekendu, ponieważ mają zbyt napięty grafik zajęć. Kolejny bank w Taunton zamknął w piątek swoje podwoje. Przejechali się na niedostatecznie zabezpieczonych pieniądzech zainwestowanych w kredyty hipoteczne. Epidemia, która dotyka nas wszystkich w Nowej Anglii.

Lucy mruknęła ze zrozumieniem, chociaż niczego nie pojmowała.

- Sprawdzili więc wrywkowo niektóre z naszych kredytów - kontynuował coraz ostrzejszym głosem.

- Jak myślisz, co znaleźli?

Wzruszyła ramionami, które w tej samej sekundzie znalazły się w uścisku jego potężnych rąk.

- Nie, naturalnie ty nie wiesz, co takiego znaleźli.

- Potrząśnął nią. - Nie udawaj! - wrzeszczał. - Powiem ci, co znaleźli. Czterdzieści dwa tysiące pożyczki dla Lucastry Borden bez żadnego dodatkowego zabezpieczenia. I wszystko to, według naszego nieobecnego pana Leddermana, wypłacone w oparciu o „rokowania na przyszłość”. Co to, do diabła, znaczy?

- Czterdzieści dwa tysiące dolarów? - Wyrwała się z jego rąk i zaczęła rozcierać ramiona. - Nie myślałam, że tak dużo tego, a w końcu, wiesz, zdawało się, że nie warto liczyć.

- Nic nie wiem, ty mała intrygantko! Po jaką cholere potrzebowałaś tych pieniędzy?

- Jak to, żeby wyremontować mój dom - wyjąkała. - Dach przeciekał.

- Czterdzieści dwa tysiące, żeby wyremontować tę małą rudere?

- Brzmi to, jakby niemoralnie z mojej strony było pożyczać tak dużo. Wszystko jest absolutnie legalne, więc nie krzycz na mnie, ponieważ...

- Ponieważ nie miałaś najmniejszego zamiaru spłacić tego, prawda?

Od wrzasku przeszedł w syczący szept, którym ciął ją niby nożem. Czy to jest mężczyzna, którego zamierzała poślubić? - zdesperowana pytała samą siebie. Czy to jest mężczyzna, który miał ją kochać przez całe życie? Czy to ten mężczyzna?

- Oczywiście, że zamierzałam wszystko spłacić. Mam już przygotowaną pierwszą miesięczną spłatę. W szufladzie maszyny do szycia. Za kogo mnie, do diabła, bierzesz?! Za złodziejkę?!

- Masz pieniądze? Skąd je wzięłaś?

Zbliżał się do niej krok po kroku, a ona cofała się, dopóki nie wpadła plecami na rosnące przy domu drzewo klonowe. Jej udreńczony, rozbiegany umysł pojmował tylko tyle, że powinna uciekać od tego rozwścieczonego maniaka.

- To proste! Poszłam do banku i pożyczyłam. Przecież po to są banki, prawda?

- Co zrobiłaś? Poszłaś do mojego banku i pożyczyłaś pieniądze na spłatę kredytu? Co za oszukańczą grę prowadzisz?

- Proszę cię - błagała bliska łez.

- Proszę cię? Myślisz, że to „proszę cię” załatwi sprawę?

To już była ostatnia kropla przepelniająca kielich. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

- Słuchaj, jeśli uważasz, że popełniłam jakieś przestępstwo, idź na policję i każ im mnie aresztować. Naprawdę sądzisz, że wyszłabym za ciebie jutro po tym wszystkim?

- Zapomnij o tym - odparł lodowato. - Ślub odwołany. Gdzie moja córka?

- Je moje śniadanie - mruknęła. Odszedł bez jednego spojrzenia.

I to ma być początek dobrego dnia? Po prostu zmiażdżył mnie. Nawet jeśli już nic więcej nie pozostanie mi na świecie, mam dumę Bordenów. Nie będę płakać z jego powodu! Z niczyjego!

Powstrzymała napływające do oczu łzy, obciągnęła swą złotą sukienkę, sukienkę szczęścia, i wróciła do domu. Maude zniknęła.

- Niech ich oboje szlag trafi! - mruknęła, wiedząc, że wcale tego nie pragnie.

Jej uwagę odwrócił jakiś hałas dobiegający z sypialni Angie. Lucy przebiegła przez kuchnię do pokoju chorej.

- Dzień dobry. - Starsza pani spojrzała na nią błyszczącymi oczyma, lecz jej policzki były białe jak papier. - Zdaje się, że zasnęłam.

- Jest dopiero dziewiąta, a ty potrzebujesz odpoczynku. Zaraz wstaniesz i zjesz śniadanie. Martwiłam się o ciebie i zadzwoniłam do lekarza. Przyśle kogoś później. Więc jak, wstaniesz?

- Chyba raczej nie. Coś mi się wydaje, że nie panuję dziś nad nogami. Czy mogłabym zjeść śniadanie w łóżku?

- Oczywiście, że tak. Na co masz ochotę? Lucy była coraz bardziej zaniepokojona. Starsza

pani nadrabiała miną, ale bez wątpienia nastąpiła w niej jakaś wewnętrzna zmiana, która przysparzała jej cierpień.

- Herbatę - rzekła Angie. - Z jakiegoś powodu mam ochotę na filiżankę herbaty. Zawsze pijaliśmy ją w domu, kiedy byłam

dziewczynką. Ojciec to uwielbiał. Herbata i grzanka. Albo słodka bułeczka. Nie masz przypadkiem słodkich bułeczek?

- Oczywiście, że mam. Już niosę. A co powiesz na trochę wody i mydła? Nie chciałabyś chyba, żeby ci ludzie ze szpitala zastali cię w tak mizernym stanie?

- I moja nocna koszula - odparła Angie. - Jeszcze jej nie nosiłam. Leży na samym wierzchu w drugiej szufladzie.

Kiedy ludzie z ekipy medycznej zadzwonili do drzwi, Angie gotowa była na ich przyjęcie. Oprócz pielęgniarzy przyjechała również felczerka.

- Mallory Smali, felczerka - przedstawiła się młoda kobieta. - Pracuję razem z doktorem Halpernem. Czy możemy zobaczyć pacjentkę?

Lucy wprowadziła ich do pokoju starszki. Po zakończeniu badań udali się do kuchni na naradę.

- Jakie to miłe - powiedziała Angie. - To właśnie powinnaś była zrobić, Lucy. Zostać pielęgniarką.

- To felczerka - sprostowała Lucy. - Tytuł prawie równy lekarskiemu. Cóż, myślałam o tym, kiedy miałam około dwunastu lat. Pewnego dnia robiłam coś w kuchni w obecności ojca i skaleczyłam się w palec. Pamiętam, że stałam pośrodku kuchni, wpatrując się w małą ranę i krew kapiącą na podłogę. Tata powiedział, że to niewielkie skaleczenie. Ale ta krew... kiedy zobaczyłam krew, zemdlalam. I właśnie wtedy zdecydowałam, że nie chcę mieć nic wspólnego z medycyną!

- To głupie. Z powodu jednej małej ranki?

- Przepraszam. Panno Borden, czy można panią prosić na moment?

- Założę się, że złe wieści. - Angie zdobyła się nawet na uśmiech.

- Pewnie chodzi o rachunek - zażartowała Lucy, wychodząc, by dołączyć do ekipy medycznej.

- Czasami bywa na tym świecie tak, że musimy być brutalni - powiedziała felczerka. - Pacjentka jest zapewne bliską i drogą pani osobą?

- Można tak powiedzieć. Przynajmniej drogą. Wszyscy jej krewni nie żyją. Angie jest sama na świecie. Ale nie ma potrzeby niczego ukrywać. Proszę mówić.

- Zanim tu przyjechałam, odbyłam długą rozmowę z doktorem Halpernem. Wszystkie moje testy potwierdzają to, co przeczuwał doktor. Jeśli mam być szczerą, panno Borden, właściwie nic nie możemy zrobić dla pani Moore. Wszystkie funkcje jej organizmu powoli się wyczerpują. Mogę przepisać lekarstwa, które pomogą jej spokojnie wypocząć. Możliwe, że wypoczynek w łóżku przywróci jej zdrowie. Możemy ją również zabrać do szpitala i czynić heroiczne wysiłki, by podtrzymać ją przy życiu. Z drugiej strony, sam przejazd trzydziestu kilometrów do szpitala może ją wykończyć.

Potworność tego wszystkiego oszołomiła Lucy. Nie będzie płakała, powtarzała sobie zawzięcie.

- Ma pani na myśli to, że może umrzeć?

- W każdej chwili. Jedyne, co możemy zrobić, to zapewnić jej dobre samopoczucie. Musi pani odpowiedzieć na pytanie: czy zostawiamy ją w domu, w jej ulubionym otoczeniu, czy też zabieramy do szpitala, mając nadzieję, że będzie można zrobić coś więcej?

- Rozumiem - odparła spokojnie Lucy. - Jaka jest pani profesjonalna ocena? Jaką mamy szansę, że jej stan zdrowia poprawi się w szpitalu?

- Jedną na tysiąc. - Felczerka zawahała się przez chwilę. - Zakładam, że będzie pani mogła się nią opiekować. Że będzie pani chciała to robić?

- Tak, naturalnie. - Lucy potrząsnęła głową. - Angie boi się szpitala.

- Tak jak wielu starszych pacjentów.

- Ma tylko mnie na świecie.

- W takim razie radziłabym, żeby została tu z panią.

Boże, powiedz mi, co robić. Lucy słała niemałą modlitwę. Co robić? Jednak nie było nikogo, kto mógłby zdjąć ten ciężar z jej drobnych ramion.

- Angie wielokrotnie powtarzała, że nie chce żadnych bohaterskich wyczynów, by ratować jej życie - odezwała się wreszcie. - Jest ostatnią kobietą na świecie, która chciałaby skończyć w szpitalu. Tak, zostawcie ją ze mną.

- Bardzo dobre rozwiązanie. Jeśli nastąpi nagle pogorszenie, proszę bez wahania do nas zadzwonić.

- Oczywiście.

- Doktor Halpern przesłał do apteki parę recept. Zaraz powinni dostarczyć lekarstwa. Sposób użycia jest na etykietkach.

Felczerka kiwnęła ze współczuciem głową i wyszła, by dołączyć do ekipy. Lucy, powłócząc nogami, weszła powoli do pokoju chorej, podjąwszy właśnie najważniejszą decyzję w swoim młodym życiu. Angie wciąż siedziała na łóżku, uśmiechając się wesoło.

- Aż tak źle?

- Ja... Angie, nie wiem co powiedzieć.

- Mów prosto z mostu, Lucy. Tak jest zawsze najlepiej.

- Mogą cię zabrać do szpitala, jeśli chcesz, ale...

- Ale niewiele mogą zrobić? Wiedziałam, że tak będzie, kochanie. Nie, wolę zostać tutaj, w otoczeniu rzeczy, które kocham. Rozchmurz się, dziecko. Jeśli pomożesz mi się z powrotem położyć, prześpię się jeszcze.

Lucy szybko się z tym uporała, po czym przyniosła filiżankę herbaty na uspokojenie. Zrobiła też jedną dla siebie.

- To miło - powiedziała Angie. - Pamiętasz, jak... Nie, naturalnie, że nie. Miałam wtedy szesnaście lat. Dziadek zabrał nas wszystkich, a było nas sześcioro, do Nowego Jorku na weekend.

Zatrzymaliśmy się w Ritzu i zwiedziliśmy wszystkie muzea. Mój kuzyn, Bob, który miał wtedy dwadzieścia jeden lat, wyciągnął mnie jednej nocy, żeby obejrzeć frywolną sztukę na Broadwayu. Ależ się czułam doświadczona! A wtedy...

Głos, który słabł w miarę opowiadania, zamilkł i Angie usnęła. Pozostało jedynie czuwanie.

Godzinę później ktoś zapukał do drzwi. Lucy, która siedziała przy łóżku Angie, trzymając ją za rękę, drgnęła zaskoczona. Jej uśpiony umysł szybko powrócił do rzeczywistości. Przy drzwiach stał majster, pan Henderson.

- Słyszałem, że starsza pani nie czuje się najlepiej?

- To prawda. Bardzo źle się czuje.

- Pomyślałem więc, że mógłbym wziąć moich chłopców na Church Street, gdzie mamy kolejną robotę, i dać pani trochę spokoju przez parę dni.

- Wspaniały pomysł. - Lucy zdobyła się na błądy uśmiech. - Ale nie zapomni pan o nas?

- Nigdy w życiu. Widzę, że te grube ryby ze wzgórzeza wprowadzają się.

- Tak?

Lucy wyszła na werandę. Meblowóz stał zaparkowany przed drzwiami Proctora, a jacyś mężczyźni wynosili meble. Piękne ukoronowanie wszystkiego, pomyślała. Najpierw ślub odwołany, a teraz on znika. Jak ja do tego dopuściłam? Ciekawe, co się stało z Maude?

- W takim razie już pójdę - powiedział Henderson.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co. O, zdaje się, że ta mała dziewczynka biegnie z wizytą. - Wrócił do ciężarówki zaparkowanej przy krawężniku.

Mała dziewczynka biegnie? Rzeczywiście, Maude pędziła ulicą na łeb na szyję, jak gdyby sam diabeł ją gonił.

- Och, Lucy! - Z płaczem rzuciła się w otwarte ramiona Lucastry.

Łzy płynęły strumieniami. Łzy gniewu i frustracji.

- On mówi, że nie będziesz moją mamą.

- Obawiam się, że nie, kochanie. Twój ojciec i ja nie zgadzamy się w tak wielu sprawach, że postanowiliśmy nie brać ślubu.

- Ale to nie z mojego powodu? Nie dlatego, że ja coś złe zrobiłam?

- Nie, to nie ma nic do rzeczy. Wciąż cię kocham i wciąż chciałabym, żebyś została moją córką. Ale to niemożliwe. Obawiam się, że twój ojciec prędzej by mnie zamordował, niż się ze mną ożenił.

- Ale ja chcę, żebyś była moją mamą. - Małe ramionka objęły ją za szyję i przywarły jak pijawki. - Chcę, żebyś była...

Do oczu Lucy napłynęły łzy. Nie będą płakała, postanowiła. A już przynajmniej z tego powodu.

- Musisz zrozumieć, Maude, że nie chodzi tu tylko o ciebie i o mnie. Jest nas troje. Sądzę, że twój ojciec uważa mnie za zły przykład, a w każdym razie myśli, że jestem... - urwała.

Cokolwiek by Jim Proctor o niej myślał, złodziejka i oszustka to były czołowe określenia.

- Twój ojciec to dobry człowiek, Maude. Bardzo cię kocha i zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żebyś była szczęśliwa. Bardzo mi przykro, że poślubienie mnie nie należy do tych rzeczy. Obydwie musimy nauczyć się z tym żyć. Osusz teraz łzy i leć z powrotem do domu. Naprawdę wolałabym, żeby twój ojciec tu po ciebie nie przychodził. Bądź dzielną dziewczynką. Któregoś dnia znów się spotkamy i będziemy się śmiać z tych wspomnień. Biegnij już.

Maude zwolniła swój uścisk i cofnęła się o krok.

- Nie sądzę - łkało dziecko. - Nie mam ochoty być dzielną dziewczynką i nigdy nie będę się śmiała, kiedy o tobie pomyślę, a mój ojciec to tyran i ja...

Odwróciła się i pobiegła szukać pociechy u brzegu wiecznego morza. Lucy przygryzła dolną wargę aż do krwi, a do oczu przyłożyła małą chusteczkę znaną w kieszeni. Na wzgórzu

dostrzegła Jima Proctora wychodzącego z domu. Szuka córki, pomyślała. Nie mogę znieść jego widoku, nie chcę być tutaj, jeśli zejdzie na dół.

Wbiegła więc do domu, wmawiając sobie, że Angie potrzebuje opieki, co nie było prawdą.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lucy poruszyła się w fotelu, masując rękę i nadgarstek. Przez całe popołudnie aż do nocy siedziała przy łóżku Angie. W połowie dnia starsza pani ożywiła się, paplając o swojej młodości. Opowiadała tak, jak gdyby Lucy brała udział w tych wydarzeniach, choć większość z nich miała miejsce, zanim dziewczyna się urodziła.

- Pamiętasz Memphis, Lucy? Kiedy to było? Tuż przed Wielką Wojną w 1917, prawda? Obie miałyśmy po siedemnaście lat i dziadek zabrał nas na festiwal jazzowy. To było coś! I Piotr tam był.

- Tak, pamiętam - odparła Lucy. - Piotr?

- Ach, ten Piotr. Złoty chłopak! A przystojny jak nie wiem co. Interesowaliśmy się sobą. - Nastąpiła długa cisza, jak gdyby starsza pani przypominała sobie szczegóły.

- I co z Piotrem, Angie?

- Piotr? A, Piotr. Pamiętasz, pojechał do Francji w 1918. Był pod Chateau-Thierry i w Aragonii. Pamiętasz, pojechaliśmy później, po wojnie do Francji, ja i tata, żeby to zobaczyć. Piotr wciąż tam jest, w Chateau-Thierry.

- Nigdy nie wrócił?

- Czeka tam na mnie.

- Jak to miło, Angie.

- Tak, miło.

Lucy pomyślała o tym, jak często Angie używała tego słowa. „Byłoby miło” - jej ulubiony zwrot.

A teraz, sięgając do niewyraźnych, zniekształconych wspomnień sprzed ponad siedemdziesięciu lat, wyciągnęła z nich Piotra, który byłby miły, ale poszedł na wojnę i leżał gdzieś w sercu Francji. Nie spełniony romans? Spojrzała na kruchą postać leżącą na łóżku. Angie Moore uśmiechała się. Widocznie było to słodkie wspomnienie. Jej twarz przypominała błądzącego pergamin, wargi siniały, a oddech stawał się coraz płytszy.

Trzeba coś zrobić! W mgnieniu oka puściła pomarszczoną dłoń i rzuciła się do telefonu.

- Już jadą, proszę się trzymać! - powiedziała telefonistka.

Po chwili dziewczyna wróciła do pokoju chorej. Nasiliły się jej obawy i poczucie winy. Gdyby wcześniej wysłała Angie do szpitala, teraz sytuacja mogłaby wyglądać inaczej. Kolejna zła decyzja. Jednak Angie nie spała, uśmiechała się blado.

- Nie śpiesz się tak, dziewczyno. Zedrzesz buty.

- Dzwonił telefon. - Lucy brakło tchu.

- Tak mi przykro, dziecko.

- Przykro? Z jakiego powodu?

- Ponieważ jutro jest twój ślub, a mnie tam nie będzie. - Uniosła rękę do góry. - Nie drocz się ze mną. Wiem, co się dzieje. Kochałam cię przez wiele lat, mcja droga. Uważałam cię za własną córkę i dlatego tak bardzo się cieszę, że masz Jimbo, żeby się tobą opiekował. Jimbo. Gdzie jest Jimbo?

Nie mogę powiedzieć jej prawdy, postanowiła Lucy.

- Wyjechał... służbowo. Przyjdzie tu, jak tylko wróci.

- A więc jutro. Oczywiście. Pracowity chłopak. Będzie dla ciebie dobry, Lucastro.

Dobry dla ciebie, Lucastro. Dobry dla ciebie, Lucastro. Słowa odbijały się echem po pokoju, cisnęły w uszy i poruszały serce. Kochany Jim.

- Tak, oczywiście - odparła.

W oddali Lucy usłyszała syrenę zbliżającej się karetki. Spojrzała na zegarek. Minęło piętnaście minut od czasu wezwania. Dotrą na czas. Wiem, że dotrą! I na pewno będą mieli jakieś nowe lekarstwo.

W tej samej chwili Angie ponownie otworzyła oczy. Podniecenie rozjaśniło jej bladą twarz. Zdołała nawet usiąść na łóżku. Lucy chwyciła ją za ramiona. W oczach staruszki malował się wyraz zachwyty.

- Och, Lucy - mówiła półszepem - pamiętasz, jak wszyscy poszliśmy do Ritza, muzyka na patio grała tak pięknie i

widzieliśmy gwiazdy? Przetańczyliśmy całą noc. Pamiętasz? Cudowny taniec!

Wciąż się uśmiechając, zamknęła oczy, a Lucy położyła ją z powrotem na poduszce. Nie płacz, rozkazała sobie. Tylko nie płacz!

Zadzwoił dzwonek i drzwi natychmiast się o-tworzyły. Dwaj pielęgniarze wpadli do pokoju, odsunęli Lucy i rozpoczęli badanie. Trwało to tylko chwilę. Przerwali tę czynność i zaczęli chować przyrządy.

- Och, nie! - krzyknęła Lucy i, przecisnąwszy się pomiędzy nimi, rzuciła się na łóżko. - Boże, nie!

- Bardzo mi przykro, proszę pani - powiedział starszy z nich, po czym zwrócił się do swojego kolegi. - W salonie jest telefon, Harry. Zadzwoń i powiedz im, że pacjentka zmarła przed naszym przybyciem.

Wtorek, osiemnasty sierpnia. Siedziała na tym, co pozostało z wciąż nie naprawionej tylnej werandy, patrząc na pustą plażę. Nie, nie wyszłam we wtorek za męż. Nigdy nie wyjdę, a Angie nigdy nie będzie dzieliła naszego życia w szczęściu. I ja też nie.

Przesunęła dłonią po swojej prostej czarnej sukience i powstrzymała kręcącą się w oku łzę. Tuż przed nią posępne fale wkraczały w tańcu na plażę, kłaniały się i wracały do oceanu. Chmury pokrywały niebo aż po horyzont. Wszystko było nudne, ponure, milczące. Nawet mewy uszanowały jej ból.

Zza węgła wyszedł mężczyzna. Lucy z nadzieją podniosła wzrok, ale to nie był Jim. Oczywiście, że nie. Nieznajomy podszedł do niej bliżej.

- Proszę pani, jestem z zakładu pogrzebowego. Czas udać się na uroczystości żałobne.

- Ach, tak - odparła ochryple. - Jestem gotowa. Delikatnie pomógł jej wstać, jakby miała sto lat, i poprowadził wokół domu. Przy krawężniku czekała czarna limuzyna z miejscem dla siedmiu osób. Zaproszono ją do środka. Została zupełnie sama. Eskortujący ją mężczyzna usiadł za kierownicą.

Lucy siłą powstrzymywała łzy. Tak było przez cały tydzień. Wszyscy żądali od niej decyzji. Lucy, zrobimy tak czy tak? Jaki rodzaj pogrzebu? Które ogłoszenia? A Lucastra Borden nie potrafiła podjąć decyzji. Jej tak bystry zazwyczaj umysł zupełnie się wyłączył. Wiedziała tylko jedno - nie wolno płakać! Nadszedł więc czas ostatniej posługi dla Angie.

Samochód zatrzymał się i kierowca pomógł jej wysiąść. Przed drzwiami kościoła czekało parę osób. Starzy przyjaciele Angie - z laskami, chodzikiem, na wózkach inwalidzkich. Było także kilku przypadkowych przechodniów. Pochyliwszy głowę, przecisnęła się do kościoła i przepchnęła do ławki Bordenów.

Huczały organy, ksiądz coś mówił. Lucy skuliła się w kącie ławki. Nie była w stanie skupić się na ceremonii. Cała drżała.

Ktoś wszedł bocznym wejściem i stanął przy jej ławce. Mężczyzna usiadł obok i ciężka dłoń opadła na jej ramię. Spojrzała do góry, by zobaczyć, kto to jest.

- O mój Boże, Jim! O, mój Boże! - wyszeptała, tak by nie zakłócić śpiewu.

Potężna ręka objęła ją, delikatnie przytrzymując. Otuliło ją ciepło.

- Płacz, Lucy - powiedział.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić i wybuchnęła płaczem. Gdy krótkie uroczystości pogrzebowe zakończyły się, odpoczywała na jego silnej, cieplej piersi. Znów zapanowała harmonia pomiędzy nią a jej światem.

Gdy obudziła się, w domu panował hałas i zamieszanie. Stukanie, rozmowy, śmiechy, jak gdyby miała miejsce jakaś inwazja. Powoli zaczęła sobie wszystko przypominać. Poruszyła się lekko. Ogromna postać siedząca obok jej łóżka również drgnęła, po czym wstała, przeciągnęła się, usiadła z powrotem i wzięła ją za rękę. Zarysowana na tle wpadających przez okno promieni słonecznych sylwetka wydawała się potężniejsza niż w rzeczywistości.

- Co? - wymamrotała.

- Pastyłki nasenne - odparł cicho.

Pogłaskał ją po dłoni. Było to bardzo miłe dla kogoś, kto w ciągu ostatniego tygodnia doznał tak niewiele serdeczności.

- Doktor Halpern zrobił ci wczoraj zastrzyk, a teraz te pigułki. Jechałaś na pustym zbiorniku, kochanie.

- Nie rozumiem. - Obróciła się lekko w jego kierunku i z trudem skoncentrowała na nim wzrok. Jego głos był serdeczny i ciepły, przepelniony miłością. - Przecież odszedłeś.

- Tylko chwilowo. Czy widzisz mnie?

- Tak. Niewyraźnie, ale widzę. - I dobrze słyszysz?

- Tak, o, tak.

- Kocham cię, Lucy Borden. - Delikatnie ścisnął jej dłoń.

Co ma dziewczyna odpowiedzieć na takie oświadczenie? „To miło”? Tak właśnie powiedziałyby Angie, a Lucy odniosła dziwne wrażenie, że Angie jest razem z nią w pokoju. Jeśli przez tyle lat korzystała z tego powiedzenia Angela Moore, dlaczego nie mogłaby tego zrobić Lucastra Borden?

- To miło - wymamrotała.

Wysoko nad jej głową rozległ się śmiech. Jim wstał, wziął coś i uniół jej głowę z poduszki.

- Wystarczy na razie. Wypij to.

Wypiła, posłuszna niczym małe dziecko. Parę kropel płynu popłynęło po brodzie. Położył jej głowę z powrotem na poduszce i wytarł mokre miejsca.

- Idź spać, dziecko.

Dźwięk dobiegał z bardzo daleka i był głuchy, jak gdyby mówiono do beczki. Zanim zdążyła wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, ponownie zasnęła.

Następnym razem, kiedy się obudziła, słońce już zniknęło. Przytłumiony blask nocnej lampki rzucał czarne cienie po pokoju. Lucy poruszyła się. Te cienie niepokoiły ją. Na krześle przy jej łóżku siedziała inna postać. Dziewczynka, której krótkie nogi nie sięgały podłogi. Lucy usiłowała wymówić jej imię, ale

okazało się to zbyt dużym wysiłkiem. Spróbowała ponownie, lecz wydobyła z siebie jedynie pisk.

- Maude? - Trzecia próba powiodła się.

Mała postać drgnęła i jednym susem przemierzywszy dzielącą je przestrzeń, wylądowała na Lucy. Mały, wiercący się, czuł ciężar.

- Och, Lucy! Powiedzieli, że możesz nie... czy wiesz, kim jestem?

- Oczywiście, że tak, głuptasie. Jesteś Maude Ktoś tam. Dobrze cię pamiętam. Masz prawdziwego potwora za ojca. Zapomniałam, jak ma na imię. Daj mi buzi, kochanie.

- Powiedzieli, że mam ci nie przeszkadzać. Żadnego dotykania, nic.

- Kocham cię, Maude Ktoś tam.

- Na litość boską! Maude Proctor, a nie Maude Ktoś tam. Ja ciebie też kocham, Lucy.

- Jacy „oni”? Co „oni” mogą wiedzieć? Pocałuj mnie.

Ofiarowany i przyjęty - jeden wilgotny pocałunek, który zamiast na czole wylądował na czubku nosa Lucy, sprawił jej wiele radości.

- Nie sędzę, żeby to się podobało mojemu tacie.

Lecz najwyraźniej spodobało się dziecku. Przytuliła się, siadając na Lucy okrakiem i zaoferowała następnego całusa.

- Myślę, że to nie ma najmniejszego znaczenia - odparła Lucy.

- Jesteśmy tu tylko we dwie, więc możemy sobie dawać buziaki, kiedy tylko mamy na to ochotę. A jeśli twojemu tacie to się nie podoba...

- Właśnie, jeśli mu się nie podoba?

- Zrobię coś strasznego, żeby dać mu nauczkę. Maude przestała się wiercić i usiadła na łóżku obok Lucy.

- Ukarzesz go? - spytała takim tonem, jak gdyby miały zamiar zamordować papieża.

- Ukarzę. Wyjdę za niego, a to już oznacza dożywocie. Boże, jaka jestem głodna!

Dziecko szybko wciągnęło powietrze i pocałowało ją jeszcze raz.

- Dziękuję - powiedziała Lucy do znikających pleców.

Małe nóżki tupwały po schodach. Nóżki poruszające się bardzo szybko, może nawet zbyt szybko jak na małą dziewczynkę.

- Tato! Tato! - rozległ się krzyk.

- Cicho, dziecinko, nie wolno przeszkadzać Lucy.

- Ona już nie śpi i mówi...

- Co mówi?

- Powiedziała, że mogę ją pocałować, więc pocałowałam i powiedziałam, że to by ci się nie spodobało, bo może ją rozbudzić, a ona odpowiedziała, że to nie twoja sprawa, bo nie ma cię w pokoju, więc mogłam pocałować ją jeszcze raz. Powiedziałam, że ją kocham, a ona powiedziała, że kocha mnie i że jeśli byś się skarżył, to da ci nauczkę, wychodząc za ciebie za mąż i... tato?

Tata był już w połowie schodów, zanim Maude zdążyła postawić kropkę na końcu zdania. Wpadł do jej pokoju prawie bez tchu.

- Grecy z darami? - spytała.

- Nie rozumiem - odparł, po czym odchylił głowę do tyłu i się roześmiał. - Tak jakbym kiedykolwiek rozumiał, do czego zmierzasz!

- Przyszedłeś z pustymi rękoma - wyjaśniła. - Powiedziałam twojej córce, że jestem głodna.

- Aha, to rozumiem. Przyniosę ci...

- Nie - przerwała - Chcę wstać i zejść na dół. Chcę widzieć i słyszeć ludzi.

Odrzuciła przykrywający ją koc i zaraz tego pożałowała.

- Zdaje się, że nie mam na sobie wiele. Może mógłbyś zejść na dół, a Maude przysłałaby na górę mi pomoc?

- Wszystko musisz zepsuć. Spojrzała na niego.

- No już dobrze, dobrze. Nie denerwuj się. Idę.

Gdy tylko Maude pomogła Lucy założyć szlafrok, już był z powrotem, podając jej ramię.

- Schody są dość strome. Myślę, że po tym wszystkim potrzebujesz pomocy. W zasadzie...

Wziął ją w ramiona, zniósł ze schodów i posadził w głębokim kapitańskim fotelu, który znajdował się w kuchni.

- Ale sapiesz - powiedziała cicho.

- Co chcesz, pracuję, a raczej pracowałem umyślowo w biurze.

- Jak to pracowałeś? To znaczy, że już nie pracujesz?

- Doktor powiedział, że powinnaś pić bulion przez dzień lub dwa. Jak ci go podać?

- Gorący i w kubku. Nie przepadam za bulionem. Tak naprawdę potrzebuję dobrego befsztyka. Z tłuczonymi ziemniakami i całą resztą.

- Bulion - odparł surowo. - Po co płacić lekarzowi niebotyczne honoraria, jeśli nie ma się zamiaru wypełniać jego poleceń?

- I tak jestem zrujnowana i nie zamierzam zapłacić mu ani grosza. Lepiej do niego zadzwoń i powiedz, że jestem pacjentką z opieki społecznej. To ukróci jego rady na temat bulionu. A teraz wyjaśnij, w jaki sposób zarabiasz na życie.

Wstał z krzesła i, okrążywszy stół, podszedł do niej. Przenikał ją spojrzeniem swoich czarnych oczu. Zdenerwowana, poprawiła stanik szlafroka i zawiązała na nowo podtrzymujący go pasek.

- To ci nic nie da. - Położył rękę na jej ramieniu.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, Jimie Proctorze, ale bądź łaskaw pamiętać, że twoja córka jest w tym domu razem z nami.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że za dużo mówisz?

- Co ty robisz? - Ze spokojnej rzeczowości jej głos zmienił się w pisk przestradchu.

- Próbuję znaleźć twój wyłącznik.

- Jesteś okrutnym mężczyzną, Jimie Proctorze. Może wcale za ciebie nie wyjdę.

- Groźby? Teraz widzę, jak to działa. Pochylił nad nią głowę, podumał przez chwilę,

po czym jego wargi zamknęły jej usta. Przez moment Lucy usiłowała się wyrwać. Tylko przez moment. Dotyk jego ust sprawił, że dreszcze przebiegły jej po plecach. To nie fair! - krzyknęła w myślach. niesprawiedliwa przewaga, ale jakże cudowna. Kiedy wreszcie cofnął się nieco, z trudnością złapała oddech.

- Lucy, twój bulion stygnie. - Bystrooka Maude przywołała ją do porządku.

- A niech to! - zaklął Jim.

Niechętnie wypuścił ją z ramion. Poprawiła szlafrok i, żeby już położyć kres gderaniu, upiła łyk bulionu. Głęboko westchnęła.

- O co chodzi? - spytała dziewczynka.

- Oto jest pytanie - odparła Lucy. - Chodzi o to, jak mam namówić pewną młodą damę, żeby poszła pobawić się na dwór, tak żebym mogła porozmawiać z jej tatą jak mężczyzna z mężczyzną... to znaczy jak kobieta z mężczyzną?

- To znaczy mam służyć?

- Dokładnie. Sprytne są niektóre z tych nowoczesnych powiedzonek!

- A więc idę.

Maude rozplywała się w uśmiechach. Wydawało się jej, że wie, o co chodzi. Już po minucie obydwójce słyszeli dzikie okrzyki, kiedy biegła w tę i z powrotem po plaży, bawiąc się z psem sąsiada.

- A więc... - Lucy odwróciła się, by spojrzeć mężczyźnie w twarz.

- Powiedziałas to jak sędzia, który zamierza za moment ogłosić wyrok.

- Przyzna pan, panie Proctor, że rozstaliśmy się w nie najlepszej atmosferze, a ty niespodziewanie wracasz i jesteś słodki, że tylko do rany cię przyłoż. Parę słów tytułem wyjaśnienia byłoby w tej sytuacji na miejscu.

- A więc, wysoki sądzie, to było tak. Zakochałem się w dziewczynie z sąsiedztwa, chociaż wcale nie zamierzałem tego robić. Naprawdę bałem się tego małżeństwa. Poprzednie było totalną klęską.

- Dobry początek, ale przejdźmy do sedna sprawy.

- Wpadłem więc na idiotyczny pomysł poślubienia mojej szwagierki. Zdecydowałem, że nie powinienem zenić się ze względu na siebie, ale dla dobra mojej córki. Skłoniło mnie to do zbliżenia się do Lucastry Borden i zażądania, żeby mnie poślubiła...

- Dla dobra twojej córki, oczywiście.

- Tak jak mówisz, dla dobra mojej córki. A potem przyszło mi do głowy, że mógłbym połączyć te dwie sprawy. Ożenić się z nią przede wszystkim ze względu na siebie, a dopiero potem dla dobra mojej córki.

- Sprytnie posunięcie. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Niezupełnie, bowiem poczułem, że zakochuję się. Po uszy. A to nie przystoi przecież szanowanemu małomiasteczkowemu bankierowi.

- A, bank! Wiedziałaś, że ten nikczemnik pojawi się prędzej czy później. Kontynuuj, proszę.

- Pozwól, że najpierw ci coś powiem, Lucy. Nie jestem specjalnie błyskotliwy. Szedłem do przodu, rozpychając się łokciami.

- Zauważyłam to pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy. Myślałam, że mi odgryziesz głowę, a ja nienawidzę mężczyzn, którzy chcą dominować.

Jim Proctor spojrział na nią. Żadna piękność, zwłaszcza z potarganymi włosami. Ale była kobietą w każdym calu. Z tysiąca rzeczy, które miałby ochotę z nią robić, objęcie jej

ramieniem miało największe szanse powodzenia. Przeszedł do salonu i usiadł na kanapie. Lucy podążyła za nim.

Jim poklepał dłonią miejsce obok siebie. Przez chwilę rozważała ten problem, po czym usiadła.

- Bliżej - zażądał.

- Nie lubię dominujących samców. - Dźgnęła go lekko łokciem. - A zwłaszcza takich, którzy wydają rozkazy.

Przysunęła się jednak, i to na tyle blisko, że ich uda się stykały. Miała na sobie cienki jedwab, podczas kiedy on wtłoczony był w uniform biznesmena.

Uniosła jego rozłożoną dłoń i przycisnęła sobie do lewej piersi. Automatycznie zacisnął palce.

- Czemu to robisz?

- Bo chcę. Nawet mnie nie polubiłeś, kiedy się poznaliśmy.

- To dlatego, że zabrałaś Maude z rejonu, który postanowiliśmy kontrolować, by ustrzec ją przed niebezpieczeństwem. Ale tego samego wieczoru odkryłem, że nie skrzywdziłabyś nawet muchy. I że kochasz moją córkę. I że masz najbardziej pociągającą figurę, jaką widziałem. - Delikatnie zacisnął dłoń na półokrągłym wzniesieniu. Chyba nic w świecie nie jest tak delikatne, pomyślał.

- I wtedy zaproponowałeś mi małżeństwo, żebym zaopiekowała się Maude.

- Boże, czy nie był to najgłupszy pomysł, o jakim słyszałaś? Nic lepszego nie przychodziło mi wtedy do głowy. Robiłem wszystko, żeby cię tylko zaciągnąć do ołtarza. Wyjdiesz za mnie, prawda?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji. Co takiego zrobiłeś w ciągu ostatnich paru dni, co spowodowało zmiany w twoim życiu?

- Oprócz tego, że po ciebie przyjechałem? Ktoś zamieścił notatkę o śmierci Angie w „Boston Globe”. Nie masz pojęcia, jak szybko można się spakować.

- Założę się, że połowa twoich rzeczy jest wciąż w Bostonie. Odnoszę jednak wrażenie, że pan się miga, panie Proctor. Co takiego zrobiłeś, że...?

- Nie mogę czekać ani chwili dłużej - rzekł, chwytając ją obiema rękami.

Poddała się temu chętnie, wtulając mu głowę pod brodę i obserwując jego błędzące dłonie. Westchnęła, kiedy pocałował ją w usta. Starła się śledzić każdy jego ruch, co doprowadziło ją do szaleństwa. Naturalnie nie zauważyła więc, kiedy porozpinał górę jej szlafroka. Poczowała na piersiach powiew chłodnego wiatru. Chwilę później klęczał na podłodze, podczas gdy ona leżała wyciągnięta na kanapie, czując jego ostre zęby zaciskające się delikatnie na jej sutku.

Ogarniały ją fale napięcia, o którym nigdy nawet nie marzyła. Szlafrok zsunął jej się z ramion, ale nie dbała o to. Przynajmniej dopóty, dopóki nie rozległo się głośnie pukanie do tylnych drzwi. Po chwili stanął w nich pan Henderson.

- Więc tak - rozległ się jego tubalny, szorstki głos. - Słyszałem, że pani wróciła, więc mówię sobie, Herman... To moje imię. Po wujku. Wspaniały budowniczy i koniokrad ze starego kraju. Więc mówię sobie, tej małej pani musi się robić niedobrze, kiedy patrzy na te rozwalone schody. Pewnie wspina się na nie codziennie, przeklinając moje imię. Tak więc przyjechałem, aby je skończyć. Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy.

- O, tak, potrzebujemy tych schodów - odparła słabo Lucy.

Skoczyła jak oparzona. Ukryła się za plecami Jima, by doprowadzić koszulę nocną i szlafrok do porządku.

- Tak - powtórzyła. - Tak szybko, jak to tylko możliwe. Aha, panie Henderson, ten czek, który panu dałam. Czy pan już...?

- Poszedłem z nim do banku od razu pierwszego dnia. Pracuję w tym zawodzie prawie dwadzieścia osiem lat i zdążyłem ułożyć sobie własne stare przysłowie: Ufaj każdemu w interesach. Począwszy od chwili, kiedy wrócisz z banku.

- Bardzo zabawne, panie Henderson - oświadczył Jim. - Tak, chcemy, żeby pan naprawił schody. Jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. Czy może pan zacząć od zaraz?

- To rozumiem. W tej sekundzie biorę się do roboty.

Starszy mężczyzna roześmiał się rubasznie i uderzył ręką po udzie.

- To nie do wiary - zaczął, ruszając w kierunku drzwi - że taki dzieciak jak pani może mieć tyle sprytu. Widzę, że pogodziła się pani ze swoim bankierem?

- Na to wygląda. - Na twarzy Jima wykwitł uśmiezek w rodzaju tych, jakie można zauważyć u tygrysa zabierającego się właśnie do jedzenia.

- Słuchaj - powiedziała Lucy błagalnie. - Nie miałam zamiaru oskubać ci? z pieniędzy. Przynajmniej na początku. Ale później wydawało się to takie proste, że nie wiedziałam, kiedy powiedzieć „stop”! Przypuszczam, że teraz chcesz odzyskać swoje pieniądze, a wtedy znów odjedziesz w siną dal.

- I tak, i nie. - Objął ją swoimi silnymi ramionami. - A więc, gdzie ja ostatnio byłem? - spytał ssąc płatek jej ucha.

- O nie, nic z tego. - Zdoławszy położyć ręce na jego piersi, pchnęła go. Ani drgnął. - Koniec zabawy, dopóki mi nie powiesz. Dlaczego nie jesteś zły, że próbowałam wziąć pieniądze z twojego banku?

- Ale wścibska! - odparł ze śmiechem. - Nie jestem zły, ponieważ ostatnie cztery dni w Bostonie spędziłem na wyprzedazy swoich udziałów w kapitale akcyjnym.

- W takim razie jesteś... zrujnowany?

- Może niezupełnie zrujnowany, ale rzeczywiście mam ograniczone zasoby. Pomyślałem, że będziemy żyli z twoich dochodów.

- Moich? Na litość boską, nie wystarczyłoby mi nawet na skarpetki dla Maude! Nauczyciele nie zarabiają kupy pieniędzy! Dlaczego sprzedałeś bank?

- Wydawało mi się, że zawsze stałby pomiędzy nami. Tak, jak było w przeszłości, kochanie.

Na jej ożywionej twarzy pojawił się niepokojący, zagadkowy uśmiech. Nagle stanęła na palcach i pocałowała go w brodę.

- W takim razie nie będę musiała spłacać kredytu zaciągniętego na mój dom?

- Co takiego?

Lucy cofnęła się, w każdej chwili gotowa ukryć głowę w ramionach. Najwyraźniej nie był to najważniejszy moment na zadanie tego pytania.

- Dobry Boże! Nic dziwnego, że zamyka się tyle banków! Z takimi ludźmi jak ty dookoła!

Dziewczyna spoważniała.

- Zadałam ci proste pytanie i nie rozumiem odpowiedzi.

- Odpowiedź jest równie prosta jak pytanie. Nie, nie musisz spłacać kredytu. W Massachusetts mąż odpowiada za długi żony. I co o tym sądzisz?

- To znaczy, że ty...?

- Nie chociaż tak, bo się udławisz. A na to nie mogę pozwolić. Może kiedyś w przyszłości będę miał ochotę udusić cię osobiście. Tak, Lucastro, będę musiał spłacić twój kredyt.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam - wykrztusiła Lucy śmiejąc się. - Gdyby wszystkie żony na świecie o tym wiedziały, większość mężczyzn...

- Byłaby zrujnowana albo nieżonata. Zaraz, zaraz, gdzie my to byliśmy?

- Myślę, że tutaj.

Podniosła jego ciężką dłoń, pocałowała ją i położyła na swojej piersi. Jej szlafrok ponownie się zsunął. Jedwab zawsze jest taki śliski, próbowała się przed sobą usprawiedliwić. To naprawdę nie moja wina. Z jej ramion opadły też ramiączka koszuli nocnej. Pochylił się, by popieścić jej pierś. Fale napięcia wstrząsały nie rozbudzonym dotychczas ciałem Lucy.

Nagle frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i do przedpokoju wbiegła Maude, krzycząc głośno:
- Mamo! Mamo!

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dopiero w dniu swojego ślubu Lucastra przekonała się, jak wielu ma przyjaciół. Kościół był przepelniony, gdy podjechała pod jego podwójne drzwi w cadillacu swojego przyszłego męża. Nawet pan Ledderman i jego świeżo upieczona żona stali na zewnątrz w promieniach słońca.

Panna młoda ubrana była tradycyjnie. Długa, biała suknia z przylegającego do ciała jedwabiu, na dwóch bawełnianych halkach i krótki tren. Pod szyją wysoka stójka z przepiękną broszką pożyczoną przez panią Winters. Błękitna podwiązka na jednym udzie, na rękę stary zegarek подарowany jej wiele lat temu przez ojca. Zaręczynowy pierścionek migotał na palcu prawej dłoni. Krótki welon i mały złoty diadem dopełniały stroju. Kiedy Jim powiedział jej, że to prawdziwe złoto, o mało nie zemdląła! Każdemu jej ruchowi towarzyszył szelest.

Jeszcze tylko cztery dni do końca sierpnia, pomyślała, wysiadając z samochodu przy pomocy pana Hendersona. Siedem dni do rozpoczęcia roku szkolnego. Jakim cudem zdołamy się utrzymać z mojej pensji?

Wszelkie próby przedyskutowania tego tematu z Jimem przypominały wspinaczkę na Mount Everest na bosaka.

- Nie martw się - powtarzał. - Wszystko będzie dobrze! - Podnosił wtedy nieco głowę i spoglądał na nią ze śmiechem.

- Uwaga, stopień. - Pan Henderson na każdym kroku okazywał swą troskę i pomoc.

Miał na sobie swoje najlepsze ubranie i sflaczały czarny krawat, który wyglądał jak para skrzydeł. Niemniej jednak znał się na ślubach, jak sam oświadczył Lucy.

- Wydałem swoje cztery córki i bratanicę. A żadna z nich nie była tak urocza jak pani.

Ponieważ był to nie lada wyczyn, pogratulowała mu i weszli do kruchty. Organy grały Bacha. Preludium, odnotował jej skołowany umysł, ale za żadne skarby nie mogła sobie

przypomnieć które. Kapłan czekał już w nawie głównej, a jej mała druha niosąca kwiaty podskakiwała w tę i z powrotem jak oszalała.

- Co się stało, Maude?

Muszę wyjść, a oni mi nie pozwalają.

- Idź! Idź szybko! - Lucy dała znak jednej ze swoich czterech druchen, by utorowała drogę dziewczynce.

Wielebny Falson, który był już świadkiem wielu podobnych katastrof, skinął głową i dał nieokreślony znak organiście. W końcu dziewczynka wróciła, podekscytowana, z policzkami zaróżowionymi zakłopotaniem.

- Gotowa? - Maude skinęła głową.

Pan Henderson dał znak, który wielebny Falson przekazał organiście i ceremonia się rozpoczęła. Wszystko przebiegało tak, jak gdyby nie przeprowadzali przedtem żadnych prób, co zresztą nie mijало się z prawdą. Organy rozbrzmiały triumfalnie, pan Henderson, wsunąwszy jej dłoń pod swoje ramię, poklepał ją leciutko i Lucy Borden rozpoczęła swój ostatni paniński przemarsz.

Trudno jej było zachować powagę. Znała praktycznie każdą osobę w kościele, ale pannie młodej nie wypada zatrzymywać się na pogawędki w drodze do ołtarza. Wciąż z uroczystym wyrazem twarzy, bliskich przyjaciół witała trwającym ułamek sekundy mrugnięciem. Wreszcie wraz z panem Hendersonem dotarła do ołtarza bez żadnych problemów, choć do ostatniej chwili nie mogła uwierzyć, że jej się to uda. Pan Henderson podał jej dłoń Jimowi, podniósł welon i ucałował ją, oddalił się ku ławkom kościelnym.

- Drodzy narzeczeni - zabrzmiał piękny, głęboki głos wielebnego Falsona.

Lucy, zerknąwszy kątem oka na Jima, zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Niezrozumiałe słowa przepływały przez jej głowę, nie zatrzymując się w niej choćby na moment. Dopiero, kiedy ksiądz doszedł do fragmentu: „Aleksandrze

Jamesie, czy bierzesz tę kobietę za żonę...?" Lucy o mało nie połknęła gumy do żucia i spojrzała na stojącego obok nieznanego. Aleksander? A co się stało z Jimbo? Próbowwała uporać się z tym problemem, kiedy ksiądz rzekł:

- Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz pocałować pannę młodą, Jimbo.

Wszystko zatem musi być w porządku, skoro tak twierdzi sam sługa boży, i kimkolwiek ten łobuz jest, kiedy ją całował, wiedziała, że to jej Jimbo i że wreszcie dotarła do swojej przystani.

- Teraz? - spytała Maude, kiedy wychodzili, kierując się do samochodu.

- Teraz - odparł ojciec.

Dziewczynka podbiegła, by stanąć na przedzie tłumu, a Lucy rzuciła wiązankę ślubną prosto w jej ręce.

- Wspaniale! - pochwalili ją obydwójce, kiedy z kwiatami w ręku przybiegła do samochodu.

- Czy to znaczy, że teraz ja następną będę wychodzić za mąż?

- Nie spiesz się zbyt - ostrzegł ją Jim. - Twoja mama i ja możemy potrzebować opiekunki do dziecka.

- Dziś wieczorem?

- Nie tak od razu. - Lucy zarumieniła się. - Po jakimś czasie. Może.

- Za rok - upierał się Jim, a Lucy pochyliła głowę, by ukryć zmieszanie.

Przyjęcie weselne odbywało się na plaży pomiędzy obydwoma domami. Było mnóstwo napojów, dwie beczułki wina, hamburgery i hot-dogi z grilla. Kiedy zapadł zmierzch i plaża zapełniła się cieniami, trójka Proctorów powędrowała do werandy wielkiego domu. Maude przytrzymała drzwi, a Jim przeniósł pannę młodą przez próg, dysząc potem dla żartów i z trudem chwytając powietrze.

- Było bardzo miło, mamusiu - powiedziała dziewczynka, ziewając głośno. Chciałabym jeszcze zostać i obejrzeć „Łowcę”.

- Przyjęcie się skończyło - odparła jej świeżo upieczona matka. - Moja córka na pewno nie będzie siedziała do późna w nocy i oglądała przemocy w telewizji. Twój tata i ja idziemy do łóżka... Przestań, Jim. Trochę cierpliwości - dodała szeptem.

- O, Boże!

- Wystarczy tego. Twoja mama kazała ci zmykać, więc zmykaj!

Dziewczynka pokazała im język i, chichocząc jak szalona, pobiegła po schodach do swojej sypialni.

- Idziemy - szepnął mąż Lucy.

- Ścigamy się? - spytała dziewczyna i, uniósłszy do góry swe długie spódnice, pognąła do sypialni.

Kiedy Jim odkrył przed Lucy tajemnice kobiecości i oboje leżeli zupełnie wyczerpani, rozległo się pukanie do drzwi.

- O, nie - jęknął. - Nie tutaj.

- Maude? - odezwała się Lucy.

- Nie mogę zasnąć! - krzyknęło dziecko i zaczęło otwierać drzwi.

W sypialni zapanowało nagle poruszenie. Jim zdołał odnaleźć swoją piżamę. Lucy usiłowała zlokalizować przejrystą koszulę nocną, ale kiedy jej się to wreszcie udało, okazało się, że jest rozerwana.

Dziecko było już w pokoju. Lucy wsunęła się pod prześcieradła, pozostawiając Jima na placu boju.

- Mam, czy mogę przyjść do ciebie do łóżka?

- Jeśli się zgodzisz - syknął swojej młodej żonie do ucha - chyba cię zamorduję!

- Nie dziś w nocy, kochanie. Tatuś nie czuje się najlepiej, ale pójdzie z tobą do twojego łóżka i opowie ci bajkę. Prawda, mój drogi?

- Jeszcze cię dostanę! - mruknął, zsuwając się z łóżka.

- Mam nadzieję - zawołała za nim i ku jej zdziwieniu tak właśnie się stało.

Kiedy otworzyli oczy o szóstej rano, Jim zamknął na klucz drzwi do sypialni i Maude, która dobijała się chyba przez całą wieczność, podreptała wreszcie na dół, by zjeść śniadanie z panią Winters.

- Nie rozumiem, dlaczego oni tak długo śpią - poskarżyło się dziecko.

- To się często zdarza nowożeńcom - zapewniła ją pani Winters. - Trochę cierpliwości. Niedługo zejdą.

Zrobili to dopiero około południa, po czym zjedli późne śniadanie na plaży, ubrani w kostiumy kąpielowe.

- Potrzebujesz nowego bikini - oznajmił Jim.

- A ty jeszcze jednej filiżanki kawy - odparła.

- Maude, masz ochotę na trochę kawy?

To była zbyt kusząca propozycja. Rozpromienione dziecko podbiegło do nich i zjedli posiłek z takim apetytem, jakby od tygodnia nie mieli nic w ustach.

- Jest parę spraw, o których powinniśmy teraz porozmawiać - oświadczył Jim Proctor. - Przede wszystkim bank. Prawie poślubiłem tę instytucję. Kiedy dowiedziałem się o twoim... długu, wściekłem się tak bardzo, że mógłbym gryźć ściany. Uciekłem więc, żeby dać sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego. Doszedłem do wniosku, że muszę zrezygnować z banku, jeśli chcę mieć ciebie. Sprzedałem swoje udziały i wiesz co? Brakuje nam piętnastu dolarów do pozostania milionerami. Za jakiś czas zamierzam ponownie podjąć studia prawnicze i zostać prawnikiem. Ale zanim to zrobię, pojedziemy we trójkę na miesiąc miodowy.

- Ja też? - dopytywała się Maude.

- Ty też. - Delikatnie ścisnął jej rękę.

- A czy nam, biednym niewiastom, będzie dane dowiedzieć się, dokąd wyruszamy?

- Czemu nie? W zeszłym tygodniu rozłożyłem ogromną mapę i znalazłem ze sto miejsc, do których powinniśmy pojechać. Żeby je wszystkie zobaczyć, wybierzemy się w podróż dookoła

świata! Pierwszy tydzień spędzimy w Waszyngtonie i twoja mama będzie cię zabierała na wycieczki po mieście, podczas kiedy ja będę zeznawał przed senacką komisją bankową. Nie wiem, czemu, ale są przekonani, że chociaż zrezygnowałem z bankowości, wciąż mogę mieć ważne rzeczy do powiedzenia.

- Ojej! - wykrzyknęła panna młoda. - Dookoła świata? A z czego będziemy żyli?

- Twoja mama jest bardzo praktyczną osobą - Jim zwrócił się do Maude. - Wszystko wypunktowane i podliczone. Czy nie mówiłem pani, pani

Proctor, że brakuje nam jedynie piętnastu dolarów, żeby stać się milionerami?

- Świetnie - oznajmiła Lucy. - Znam jeden bank, w którym moglibyśmy z łatwością pożyczyć piętnaście dolarów. Może nawet dwadzieścia!

- O, nie! Nic z tego! - Chwycił jej małe dłonie.

- Ty, moja droga, skończyłaś już z bankami. Poza tym, czy pamiętasz, jak Angie Moore dała ci w prezencie wszystkie swoje papiery? Zostawiła ci swój wdowi grosz. Pamiętasz?

- Co to znaczy? - dopytywała się Maude. - To opowieść z Biblii - odparł jej ojciec.

- O wdowie, która miała tylko jeden grosz. W tamtych czasach to była najmniejsza moneta. Wdowa weszła do świątyni, przeszła obok rozmawiających ze sobą bogaczy i wrzuciła swój grosz do skrzynki na datki, oddając w ten sposób wszystko, co posiadała, Bogu. Angie zrobiła to samo. Tylko że to już nie jest jeden grosz, kochanie. Kiedy urzędnicy bankowi podsumowali twój całkowity spadek, okazało się, że sięga on czterech milionów dolarów. Nie licząc pięćdziesięciu tysięcy w walucie konfederackiej, która, jak podejrzewam, nie jest wymienialna na otwartym rynku.

- O Boże, zupełnie zapomniałam - wyszeptała Lucy. - Kochana Angie. To nie pieniądze stanowiły jej wdowi grosz, tylko miłość. Była przykładem tego, jak można być

szczęśliwym, poświęcając się dla innych. Wiesz, jak bardzo pragnęła, żebyś cię poślubiła, Aleksandrze?

- Ja też tego pragnąłem. Jak widzisz, nie musimy żyć z twojej pensji. Co więcej, już podczas ślubu powiedziałem dyrektorowi szkoły, że nie wracasz do pracy. I nigdy przy ludziach nie mów do mnie Aleksandrze - poprawił ją. - Kochana Angie i kochana Lucy.

- I kochana ja - dokończyła Maude. - Idziecie popływać?

- Raczej nie - odparła Lucy. - Twój ojciec i ja mamy parę spraw do omówienia, a potem chyba się zdrzemniemy. Idź i zostań z panią Winters. Zobaczymy się na kolacji.

- Nie rozumiem - narzekła Maude następnego dnia. - Przespaliście praktycznie cały wczorajszy dzień i połowę dzisiejszego. I wciąż jesteście zmęczeni! Myślę, że powinni brać jakieś witaminy, pani Winters.

- Może masz rację, dziecko - powiedziała gosposia, po czym zwróciła się do Jima: - Ma pan urnę?

- Mam. Właśnie nadlatuje hydroplan. Chodź, Maude.

- Dokąd, na litość boską?

- Ty, ja i twoja mama wybieramy się na przejażdżkę hydroplanem, żeby pożegnać się z Angie.

- Z Angie? Ale ona... odeszła.

- Tak, lecz mimo to będzie tam, żeby się z nami pożegnać. Weź sweter. W górze będzie zimno.

Hydroplan wylądował na spokojnych niczym staw wodach zatoki, po czym przykołował do mola znajdującego się przed domem Proctorów. Pilot pomógł im wsiąść. Jim usiadł z przodu, a Lucy i Maude obok siebie na tylnej ławce. Po paru minutach pilot uzyskał zezwolenie na start. Hydroplan wzniósł się ponad wody zatoki, z opuszczonymi klapami przy skrzydłach, zachowując minimalną prędkość pozwalającą na utrzymanie się w powietrzu.

Jim Proctor uchylił boczne okno w drzwiach i na komendę pilota przechylił urnę. Prochy wysypały się i poczęły rozwiewać w delikatnej bryzie.

- Prochy do prochów - wyszeptała Lucy ze łzami w oczach. - Do widzenia, Angie Moore, wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie. - Po czym zwróciła się do Maude. - Byłam małą, kiedy zmarła moja mama. Przez wiele lat zajmowała się mną babcia, a kiedy i ona odeszła, Angie stała się moją drugą matką. Była dla mnie bardzo dobra.

- Popatrz tylko na mnie - powiedziała dziewczynka z podnieceniem. - Moja mama umarła, kiedy byłam mała, a teraz ty jesteś moją drugą mamą. Ojej! I tak pozostanie przez długi, długi czas!

Lucy, która nigdy nie patrzyła na to od tej strony, przywołała na twarz wspaniały uśmiech i, wymieniwszy spojrzenia ze swoim mężem, wytarła ukradkiem łzę spływającą po policzku.

- Do widzenia, Angie - rzekła Maude. - Do zobaczenia w niebie.

- Ładnie to powiedziałaś - pochwaliła Lucy. - Wracajmy do domu, Jim. Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty naszego życia.